№ 36. Warszawa, dnia 24 Sierpnia (5 Września) 1874 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

WAKACYE STAREGO PEDAGOGA.

Znalazł na bruku, Podał do druku,

Teofil Tarcza.

(Dokończenie).

— No, pomyślałem sobie — teraz już chyba w rękę mi co wpadnie. Niepodobna przecie, abym z głodu umierając, zajmował się uczeniem samych tylko biednych dzieci. W konwulsyach żołądka niemożliwe nawet i sylabizowanie. Nie widzę tu jakoś pysznego salonu jak u pani Modnickiej, ale też i wielkiej biedy nie widzę — pomyślałem sobie, wchodząc do mieszkania pewnego pana R., urzędowego sekwestratora, przy jakimś tam sądzie *panie dobrodzieju*. Nie przewidywałem jednakże, iż wizyta ta moja nietylko mi, jak i poprzednie, żadnego zysku nie przyniesie, ale jeszcze na małą konfuzyę narazi.

Owóż tedy, nie zwlekając, powiem, iż nieszczęśliwym przypadkiem trafiłem w tym domu na maleńkie jakieś nieporozumienie małżeńskie. Wchodząc do przedpokoju, usłyszałem zaraz jakoweś groźne słowa głębokim kontraltem wygłaszane, z towarzyszeniem instrumentu, który do żadnego z orkiestrowych nie będąc podobny, przypominał natomiast echem swojem coś jakoby w rodzaju uderzania dłoni po policzkach. Zatrzymałem się strwożony i nie mogąc dopuścić, aby to pani sekwestratorowa biła pana sekwestratora, chrząknąłem tylko, znak dając, iż ktoś jest obecny w przedpokoju. Groźne słowa jednakże rozlegały się dalej — a ponieważ byłem czas jakiś w życiu swojem zastępcą organisty i znam się trochę na muzyce, więc powiem, że *tempo*, w jakiem się te słowa rozlegały, nazywa się w nutach *staccato*.

— Hultaju ty mi jakiś! — brzmiało.—Z czułem ty sercem baranku! To ja tu z głodu umierać będę razem z dziećmi, a ty po pięć rubli będziesz mi przywoził z sekwestru, mogąc przywozić po pięćdziesiąt. Jesteś od tego żebyś grabił — to grab. Nie twoja rzecz rozczulać się nad biedą cudzą. Niech szelmy długów nie robią, to do nich nie będziesz jeździł. Co ci djabli do tego, że tam 8-ro dzieci? co ci do tego? Bierz swoje i basta; a nie — to niech ci przynajmniej dobrze zapłacą. Pięć rubli! widzisz go! osioł! — Pięć rubli!.. I on mi śmie się z tem pokazywać! Na chrzciny oto nie mam iść nawet o czem! Masz oto!

I ostatnim tym słowom znów towarzyszyło echo, które do uderzenia dłoni po policzku musiałem porównać.

Rzecz się zresztą wyjaśniła wkrótce. Pokazało się, żem się już teraz nie mylił.

Mały, chudy jakiś człeczyna, w pełnym mundurze i przy szpadzie, wybiegł tuż do przedpokoju gdzie stałem, a za nim, w mocno wygorsowanej, atłasowej, piaskowego koloru sukni, z ogromnem także wygórowaniem z tyłu i z większym jeszcze ogonem, pani jakaś, która, że pan sekwestrator (bo to był on!) zdołał już umknąć po za mnie, pokaźnej dosyć i tłustej rączki swojej, nieomal nie złożyła na mojej łysej głowie.

— A kto pan jesteś? — zapytała raptownie, głos zniżając i zatrzymując się na progu bawialnego pokoju.

— Nauczyciel, szanowna pani dobrodziejko — odrzekłem zmięszany najokropniej—nauczyciel elementarny. Mam tu bilet oto szanownej pani dobrodziejki.

— Nauczyciel? — rzekła, mitygując się powoli w gniewie i obserwując mnie od stóp do głowy, jak dzikiego jakiego zwierza. To to pan jesteś, co podałeś się do Kuryerka?... Aha!... A jakichże pan uczyłeś już dzieci dotychczas?

— Wiejskie dzieci przedtem, szanowna pani dobrodziejko—odrzekłem; a potem... potem... dzieci tutejsze.

— To jest jakie?—zagabnęła. Bo tutejsze, widzi pan, to mogą być i Bóg wie jakie!

— Dzieci różnej kondycyi proszę pani: rzemieślników, kupców...

— Jakto! i rzemieślników? — przerwała. Szewckie dzieci znaczy się? — co?..

— I szewckie — odpowiedziałem, tracąc coraz więcej odwagę i oglądając się instynktownie na drzwi prowadzące do sieni.

— A teraz, jakie pan masz dzieci u siebie? —spytała dalej.

— Różne także, szanowna pani dobrodziejko—odpowiedziałem.

— Różne! — to jest też szewckie? Może jeszcze dzieci stróżów, lokai? a może jeszcze —może—może...

Właściwie byłem w położeniu, jak to wiadomo drogiemu czytelnikowi, że nie mogłem przytoczeniem żadnego, z wyższego jakiegoś stanu dziecka, obaw pani sekwestratorowej utulić. Milczałem przeto — gdy tymczasem pani sekwestratorowa *crescendo*:

— I pan chciałbyś, aby dzieci moje... moje!—czy pan wiesz, że ja jestem podsędkówną? — aby dzieci moje pobierały edukacyę z jakiemiś tam wyrzutkami, z dziećmi chłopów, szewców, rzemieślników i jakiemiś tam jeszcze! — co?... Może jeszcze z żydziakami razem, mój panie? I pan, przeczytawszy wyraźnie na kartce, że masz do czynienia z *Sekwestratorstwem*, byłeś tyle naiwny, żeś myślał o wzięciu dzieci moich na naukę do siebie!? Mój panie! chyba pan nie jesteś,—przepraszam, że się tak wyrażę — przy zdrowych zmysłach.

Milczałem, i kłaniając się nizko, zacząłem się cofać w tył.

— A ile też — zagabnęła teraz raptem pani sekwestratorowa —pobierasz pan od jednego dziecka na miesiąc za *te tam* uczenie ich abecadła?

— Rozmaicie — odrzekłem. — Po trzy i po dwa ruble... i po rublu nawet się zdarza, pani dobrodziejko.

— Po trzy, po dwa ruble!... w Imię Ojca i Syna i Ducha, mój panie! A toż-bym chyba już nie wiedziała, gdzie wyrzucać pieniądze! Toć u mnie dziś akademik z czwartego kursu, mój panie, pobiera od trojga razem dzieci, dwa ruble miesięcznie za lekcyę czytania. Przychodzi tu do domu, co dzień mój panie, i siedzi po dwie godziny. Akademik, mój panie—

tu przychodzi! — troje dzieci! — i młody człowiek! A czasem jak się zasiedzi, to i dłużej siedzi!...

Stawiam tu parę kropek — bo co mi tam przy tych ostatnich słowach pani sekwestratorowej na myśl już przyszło, z tego nie mam potrzeby zwierzać się przed czytelnikiem — zresztą zarumienićbym się musiał.

Wyszedłem — raczej uciekłem.

Po chwili, krokiem bohatera, który zrezygnowany już na śmierć i na wszystko, dla ciekawości prawie więcej co z nim los zrobi, aniżeli dla zyskania zwycięztwa, kroczy naprzód i z ironją kielich goryczy wypija do dna, — krokiem mówię takiego bohatera, dążyłem ku ulicy *Aleksandrya*, pod *Nr. domu 6* — dokąd mnie nowa i przedostatnia karteczka wzywała.

Krótko tę wizytę opiszę.

Oto zastałem w szczupłej stancyjce, na łóżku nie mającem nic więcej na sobie, prócz siennika i starej przybrudzonej poduszki, leżącego i kurzącego fajkę mężczyznę lat około 30, który, jak mi opowiedział, służąc dotychczas za niższego dozorcę przy dzieciach Instytutu Głuchoniemych, a czując w sobie powołanie do daleko wyższych i więcej do zdrowia jego nadających się zajęć, — postanowił sobie nauczyć się pisać, i otrzymać w skutek tego etat kancellaryjnego urzędnika przy jakimś cyrkule.

Wspomnę mimochodem, że powierzchowność tego pana nie okazywała wcale, aby był słabej jakiejś kompleksyi, chorowity, lub coś podobnego. Owszem, wyglądał jak jabłuszko—nos miał dobrze czerwony—i tuszy był niezłej. Opowiedział mi, że usłyszenie raz na akcie uroczystym w Instytucie, zdania wygłoszonego przez jednego z profesorów, że niejaki pan *Franeklin* czy Franklin z Ameryki, będąc synem fabrykanta i zecerem za młodu, został jednakże prezydentem *jakiegoś miasta* (!) i posłem *od jakiegoś tam kraju* (!) na stare lata,—natchnęło go myślą, aby i on popróbował, czy mu się nie uda otrzymać przynajmniej urząd burmistrza, jeśli już nie prezydenta w jakiemś powiatowem miasteczku... do czego właśnie wstępną służbę w jednym z Warszawskich Cyrkułów uważał za potrzebną.

— Marnuje człowiek swój wiek i zdrowie, proszę pana — rzekł do mnie, kiedyśmy się już rozgadali—za liche kilka set złotych na rok... I przez co tylko?—przez to, że pisać nie umie. Bo proszę pana, czuję, że gdybym to umiał, gdybym tylko jakie takie wiadomości posiadał, to zamiast oprowadzać oto po ogrodzie instytutowym te przeklęte kaleki, co to Bóg wie po co żyją i czemu miejsce zawalają na tym świecie, byłbym już może dotychczas *naczelnikiem kolei* jakim, a może i czem więcej... bo — dodał — silną posiadam protekcyę.

— Więc, wnoszę z tego wszystkiego, że pan chciałbyś się u mnie, pomimo wieku swego, zacząć uczyć pisania, kiedy wezwałeś mnie oto do siebie — wtrąciłem, wysłuchawszy najcierpliwiej tych wszystkich zwierzeń zapoznanego genjusza-dozorcy. Jakżebyś pan to chciał urządzić, drogi panie? bo ja uczę tylko dzieci — dodałem.

— A oto jak, widzi pan — odrzekł młody człowiek.—Ja wiem, że pan uczy dzieci; i właśnie pomyślałem sobie: jakby to dobrze było, żebym mógł do tego pana przychodzić choćby na parę godzin dziennie, i przypatrywać się tylko wszystkiemu, co dzieci będą robiły. Coby to jemu szkodziło, że ktoś tam siedzi sobie pod piecem i przypatruje się lekcyi? Zresztą... wie pan... wiele nie mogę... ale tak... pół rubla jakiego miesięcznie, to mógłbym płacić panu za tę przysługę.

Odetchnąłem. Tymczasem dozorca mówił dalej: Pół rubla, panie!—tak!—ja wiem że to mało!—ale co robić? Pan zaś, pan mnie zbawisz przez to drogi panie: Pan otworzysz mi drogę do *Bóg wie jakiej* karyery! I zdrowie pan moje oszczędzisz, drogi panie!

— Tak jest—rzekłem—lecz któż w takim razie będzie się zajmował tymi tam biednymi kalekami w instytucie, jeśli każdy, tak jak pan oto, zechce poszukiwać karyery na innem polu? Przecież oprowadzać niewidomych, aby się nie rozbijali o drzewa i mury, też ktoś musi.

— A niech ich tam!—odparł zapoznany geniusz.—Niech sobie tam inni zajmują się podobnemi rzeczami. Ja czuję, że ja nie do tego!—że marnuję młodość swoją, zdrowie, wiek, całego siebie... dla tych bestyj. Ja czuję, żem do wyższych rzeczy stworzony!

Pół rubla, panie!... i to z góry płacić mogę zawsze.

Powstałem ze stołka. Nie było co tracić czas dłużej. Nie targowułem się też. Wiele ten robi co musi. Półrobel!—i to dobrze; i to choć coś, kiedy nic więcej niema! Może pan Podwaliński, do którego mam pójść jeszcze, wynagrodzi mi za wszystkich—to i dobrze będzie. Nie żałuj, żeś jeden jeszcze poczciwy zrobił uczynek. Zgoda!—rzekłem; i umówiwszy się co do reszty, opuściłem pana przyszłego prezydenta.

Po dobrej znów półgodzince, znalazłem się na *Żelaznej*.—szukam domu N. 14.—pytam o pana Podwalińskiego—i dowiaduję się, że tym panem Podwalińskim, jest stróż tegoż domu, ojciec czworga dzieci, wieśniak, który od dwóch dopiero tygodni wieś opuściwszy gdzie mieszkał całe życie, do Warszawy przyszedł szukać zarobku i chleba.

Pomijam całą wstępną z panem Podwalińskim gawędę, i opisuję tylko jej koniec.

— Proszę Jegomości — rzecze pan Andrzej (takie było imię wieśniaka)—cyliz byłoby to ućciwie, zebym ja sie z Jegomością o rubla tam jakiegoś, kiedy chodzi o dobro moich dzieci, targował! Alboć ja to nie wiem, coto za praca ucyć drugich? Ucyłem ci i ja się u miejscowego organisty, kiedym był młody. Oj, wiem jaka to praca, wiem, mój Jegomość! To cłecyna biedny aze potniał nieraz od niej—pamiętam. Gorse to moze od nasej roboty! Ta i jabym naprawdę za nic tego się nie podjął!—za nic!.·. Zreśtą, uzbierał ci cłek sobie trochę grosa na wsi; pracowało się długo i duzo. No to i ja teraz, tego uciułanego grosa będę oscędzał dla dzieci? A dla kogózem to zbierał, jeśli nie dla nich? I dla kogo pracuję teraz?—Ta ci ja do miasta tylko i dla ich hajdukacyi psywendrowałem. Chciałbym to wyprowadzić na ludzi, mój jegomość—a wiem, ze bez nauki nic.. Po rublu powiada Jegomośc od kazdego miesiencnie?—to znacy tsy ruble? Dobze mój Jegomość. Niech ta bedzie! I jutro zaraz pójdą do Jegomości na lekcyją.

A ucyć mi, się!—ucyć!—i słuchać i sanować Jegomościa! słysycie chłopoki?—zawołał zwracając się do malców swoich, którzy wszyscy czysto odziani. z wesołemi twarzami i jasnem spojrzeniem, stali tuż obok, i patrzyli się we mnie jak w słońce.

Ucyć się, i sanować tego pana.—powtórzył—to drugi was ociec! rozumicie?

Dobrocyńca was!—rozumicie?

Nic bez nauki!—rozumicie?

No pocałować Jegomościa w rękę!—A utseć pierwej nosy, zeby broń Boze nie powalać!...

Dzieci skoczyły mi do ręki. Z jakąż rozkoszą tym razem przytuliłbym je wszystkie do piersi, — i po wiedział do nich: Moje dzieci!—jesteście dziećmi biednego ojca, który krwawą pracą na wyżywienie wasze zarabia. Otóż ten ojciec duży grosz jednakże za naukę waszą obowiązuje mi się płacić. Tymczasem, moje dzieci... wyście tę trochę światła, co ją dać wam mogę, darmo otrzymywać powinne.—Niech tedy płacą mi za was panowie; oni mają tyle pieniędzy!.... ale wy, wy, moje dzieci, wy kształćcie się bezpłatnie przy ich dzieciach, jak przystoi na świecie." Jakże chciałbym był tak powiedzieć — a nie mogłem.

Te bóty nieszczęśliwe! — podarte bóty!..

Wychodząc, rzekłem do siebie: A cóż panie Trzepalski? — nie chciałeś iść już wcale do Podwalińskiego—tymczasem... Otrzymawszy tedy jakie takie jeszcze zajęcie obok tych lekcyj, które, jak czytelnik mógł łatwo zrachować, przynosiły mi wszystkie razem po trzy i pół rubla miesięcznie—dożyłem oto szczęśliwie do wakacyj.

Teraz zaś malcy moi porozchodzili się, ten w tę, ten wową stronę. Pan dozorca także dokądś się udaje, na prowincyę, do krewnych jakichś bardzo bogatych podobno. Nie wiem, jak tam rok nowy rozpocznę.... A tymczasem używam wczasu—i dlatego, temu opowiadaniu memu, do pisania którego trochę z lenistwa a i trochę z potrzeby (co teraz dopiero wyznam czytelnikowi) się wziąłem, daję skromny tytuł: „*Wakacye pedagoga*."

A sens moralny?

Otóż ten, zdaje mi się, będzie z rzeczy całej taki:

Nauczycielstwo elementarne, pomimo wszystkich wielkich pożytków swoich i wielkich tych zasług o jakich na początku opowiadania mego nadmieniłem, — jest fachem najmniej ze wszystkich cenionym u nas i szanowanym.

Sens drugi:

Najlepiej jednakże je cenią i najlepiej za nie płacą... chłopi!

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Oh! kiedy tak, to z pewnością nie dotknę się do niej, palcebym sobie popiekła! Ale chodźmy już, bo mama gotowa się rozchorować, nie widząc nas tak długo i zostawić mi cały ciężar bawienia gości.

To mowiąc Noemi, otworzyła małe drzwiczki, któremi była weszła, poprzedzając ojca i wuja w zygzakowatym kurytarzu prowadzącym do gabinetu dla palących, a z niego weszli do olśniewającego złotem i przepychem salonu, jak je zwykle urządzają bogaci finansiści.

Dość liczne towarzystwo znajdowało się w tym salonie, a raczej kręciło się po nim z tą zbytnią swobodą i poufałością, jaką niektóre rodziny paryzkie nie wahały się wprowadzić do swych przyjacielskich zebrań. Wyzywająca śmiałość, dziwaczne stroje młodych kobiet, postawy poufałe i głośna a niezupełnie przyzwoita wesołość młodych ludzi, nie dozwalałyby myśleć że się jest w dobrem towarzystwie, gdyby kilka pań poważnej powierzchowności i kilku starszych dystynkcyą odznaczających się mężczyzn, nie łagodziło ogólnego kolorytu całego zgromadzenia.

Bystre oko Mefistofila natychmiast spostrzegło Annę właśnie zmieniającą miejsce i tak wyglądającą, jak jaskółka zabłąkana wśród stada wron krzykliwych. Miała na sobie skromną tualetę wybraną w Luwrze, a różniącą się od jej zwykłego stroju gustem i wytwornością formy i wykończenia. Ta strojna błękitnawa suknia skrojona *a la princepe*, była powłóczystą i nadawała wiele wdzięku poważnym z natury ruchom młodej dziewczyny, wielki marynarski kołnierz obszyty koronkami spadał na jej delikatne ramiona, tworząc dla jej twarzy odpowiednie ramy matowej białości; parę pukli wymykają-

cych się z jej pysznej korony kasztanowatych włosów, spadały w lekkich lokach aż do wązkiego paska i nic więcej. Żadnego kwiatka, ani kokardki, ani wstążki, ani swiecidła, ani klejnotu żadnego, nic nie było podpiętego, wydmuchanego, nastrzępionego, wymuszonego.

A jednak nie było kobiety któraby się przed Henrykiem nie unosiła nad dystynkcyą jego siostry, nie było mężczyzny, któryby się pięknością jej nie zachwycał.

— Przez cały dzień dzisiejszy pani do nas należysz,—rzekł Mefisto nizkim witając ją ukłonem.

Piękne oczy Anny mimowolnie spuściły się przed jego przenikliwem spojrzeniem, skłoniła się na znak przyzwolenia i Mefisto odszedł. Jakiś młody człowiek, swieżo przybyły, czekał na niego, a łapiąc w przechodzie zawołał:

— Zmiłuj się mój drogi, te panie przysyłają mnie, abym się od ciebie dowiedział, kto jest ta sliczna pensionarka, którą w tej chwili witałeś?

— To siostra Henryka Darganec.

— Któż jest Henryk Darganec?

— Nasz wspólnik bretoński.

— Bardzo dobrze, teraz wiem wszystko, tylko tego zrozumieć nie mogę, po co wprowadzać na nasze wesołe zebrania tę młodą kobietę, śliczną wprawdzie, lecz zda mi się dobrą chyba do umieszczenia w niszy.

— Zapytaj o to mojej synowicy, — odrzekł Mefisto—obecność tej statui między nami jest kaprysem Noémi.

— Powinienem był odgadnąć, wszystko co niezwyczajne, podoba się pannie Noémi. Nie pomyślała jednak, że podobna osoba chłodem wieje w całe towarzystwo nasze.

— Dlaczego?zapytałMefisto gładząc swą rudą brodę.

— Bo, do licha! każdy się czuje żenowany, każdy nie może być samym sobą w obec tej białej gołąbki!

— Cóż znowu—powiedział Mefisto—nie bylibyśmy zaprosili pannę Darganec, gdyby miała być przeszkodą w zabawie naszej. Niech nikt nie zważa na nią. Wielkie nieszczęście! jeżeliby się nawet gołąbka i spłoszyła trochę.

— A! tak to uważasz?

— Bezwątpienia.

— A więc dobrze! — odrzekł młody człowiek kręcąc wymuskany wąsik, rozumiem i powiem, że nie ma potrzeby oglądać się na nią. Przeciwnie ta wiadomość rozniesiona przez eleganckiego dandysa, zniosła lekki przymus widokiem Anny na nowo przybyłych rzucony. Zresztą Noémi tam była, niepodległa panna Noémi dozwalająca sobie i drugim zupełnej swobody myśli i słowa. Wszystkie twarze odzyskały ożywienie sobie właściwe, wszystkim usta cudownie się rozwiązały, zwłaszcza gdy goście do obfitego i wykwintnego śniadania zasiedli.

Podczas śniadania, Anna jakoby przedstawiała w naturze, rolę lunatyczki siedzącej u stołu ludzi czuwających. Jej moralna istota była jak odrętwiałą, wszystko, co słyszała lub widziała, w osłupienie ją wprawiało. Ta wytworność, zbytek, ta poufałość obejścia się ucztujących, lekkość i nieprzystojność ich rozmowy, ekscentryczność strojów, wszystko to wprowadzało ją w rodzaj bolesnego odurzenia, przytępiającego chwilowo nawet jej władze myślenia, tak dalece, że przez czas jakiś, nie mogła zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje. Nie czuła nawet niemiłego wrażenia, które na niej zwykle wywierał przenikliwy wzrok Mefistofila, z umysłu naprzeciw niej, siedzącego, i śledzącego nieznacznie każdą zmianę jej fizognomii.

Po skończonem śniadaniu, mężczyzni przeszli na cygaro do przyległego salonu zostawiając drzwi jego otwarte.

Noémi i inne młode osoby grały i spiewały przy fortepianie rozmaite fantastyczne utwory, których wybór zwiększył jeszcze osłupienie Anny, znającej tylko poważne dzieła mistrzów. Mężczyzni wmięszali się do tej bezmyślnej i hałaśliwej muzyki, a z przyległego salonu huczne dawano oklaski, co jednak nie przeszkodziło że po pół godzinnym hałasie, wszyscy wołać poczęli: „do lasku! do lasku!" Liczne powozy czekały już przed bramą i wszyscy starzy i młodzi, licząc w to poważne damy i owych kilku starszych mężczyzn do lasku Bulońskiego pojechali.

Anna ciągle jak senna, jako czwarta umieszczoną została w spuszczonej karecie naprzeciw dwóch pań w pewnym już wieku, ziewających i nadętych tym rodzajem obrzydłej pychy, którąby pychą pieniężną nazwać można.

Wielka duma, duma osobista wywołana własną potęgą, stanowiskiem w świecie albo też urodzeniem, zwykle nacechowana jest grzecznością i uprzejmością.

Ten, który się czuje prawdziwie wielkim, może chcieć zamknąć się niekiedy sam w sobie, lub też powziąć za wysokie wyobrażenie o swej wyższości, lecz drugim jej nie narzuca, zostawiając to własnemu ich uznaniu. Duma zaś pieniężna, jeśli tak ją nazwać można, przeciwnie, w najwyższym stopniu jest niedelikatną, pewną siebie, niegrzeczną, a właśnie towarzyszki Anny, taką jedynie się odznaczały. Nigdy spojrzenie młodej dziewczyny nie spotkało wzroku tak oschłego, bezmyślnego i grubijańsko badawczego, jak tych pań.

Anna w innej chwili byłaby się może bawiła studyowaniem tych fizognomij nadąsanych, które chcąc być wyniosłe, wpadały w trywialną nadętość tylko, chętnie byłaby uszanowała niegrzeczne milczenie, które względem niej zachowywano, gdyby nie miała za sąsiada Mefistofila. A w ostatecznym razie wolała już patrzeć na te dwie głupie, zarozumiałe, impertynenckie i wstrętne istoty, wykręcające się przed nią na błękitnym atłasie powozu i odpowiadać na ich pytania nieraz bardzo niedyskretne, jak słuchać przykrych dwuznaczników cedzonych przez białe zęby zwierzchnika jej brata.

Pomału jednak powietrze i ruch otrzeźwiło jej umysł i dzięki gwałtownemu wysileniu woli, wyrwała się z letargicznego stanu. Mówiła mało, lecz słuchała uważnie. Twarz jej rzadko kiedy i zupełnie bezwiednie zdradzająca jej uczucia, chwilami oblekła się wyrazem głębokiej melancholii.

Rozmowa ta pełna niesmacznych konceptów, drażliwych awanturek zaledwie mniej więcej zręcznie osłoniętych, uszczypliwych lub dwuznacznych słówek, wtajemniczała ją mimowoli w zwyczaje szalonego paryzkiego świata, a dziewicza i szlachetna jej dusza ranę po ranie co chwila odbierała. Mijający ich każdy świetny powóz, cienista aleja którą przejeżdżali, klomby drzew przypominające jej piękne lasy rodzinnego kraju, dostarczały Mefistofilowi i dwom damom tematu do opowiadania tysiącznych wydarzeń któreby mogły pannę Noémi śmieszyć, lecz biednej Annie uszy rozdzierały. Mefistofil szczególnie był niewyczerpany i posługując się swym sposobem opowiadania łatwym, świetnym i malowniczym, pełną garścią rozrzucał śmiecie najniższych namiętności, po tych zachwycających miejscach, przez cały Paryż próżniaczy zwiedzanych.

To też prawdziwej ulgi Anna doznała, wysiadając z powozu, gdy ten się zatrzymał przed jedną z tych fantastycznych budowli, w których zmysłowość bogaczy znajduje zawsze wytwornie zastawione stoły, a które stanowią nietrwałą ozdobę tej wymuszonej natury.

Instynktownym ruchem młoda dziewczyna chwyciła ramię Henryka i pod cień drzew o parę kroków za sobą go pociągnęła. Widocznie miała ochotę uciec, oddalić się od tych ludzi tem wszystkiem przesyconych, tak niemiłosiernie ze wszystkiego szydzących, a których głębokie zepsucie pod elegancką powierzchownością nawet dla niej widocznem było.

Lecz zanim przemówić zdołała, Mefisto był już przy jej boku, uśmiechnięty, uprzejmy, złośliwy. Przyszłość Henryka była w rękach tego człowieka, Anna przytłumiła gwałtowne bicie serca, zapanowała nad sobą i spokojnie odpowiadała na pytania sobie zadane.

Te kilka chwil przechadzki uspokoiły ją trochę i gdy powróciła, odzyskała już była całą swoją energję i cierpliwość.

Towarzystwo zebrane było w salonie. Ludzie ci wyjeżdżali za miasto, aby użyć wiejskich przyjemności à zamykali się w złocistym salonie, zasiadali na zielonym kobiercu lecz w fabryce tkanym i pod dzewami na ścianach malowanemi.

Gdy Anna i Henryk wrócili, wszyscy mieli w rękach wieczorne gazety tylko co przysłane z Paryża, a panna Noémi w coraz to hałaśliwszem usposobieniu, kazała sobie podać wszystko co tylko prassa ogłaszała najbardziej gwałtownego. Poważne panie i starzy panowie tak jak i inni oddawali się tej orgii umysłowej, jedni drugich starali się ubiedz w przytoczeniu najśmielszych wyrazów, najbardziej ubliżających przymiotników, lub w przeczytaniu na głos najprzewrotniejszego artykułu.

Wszyscy ci wolterjańscy konserwatyści bawili się temi zapałami demokratycznemi i antyreligijnemi.

Panno Anno, — pani nic nie czytasz? — zawołała nagle Noémi — wuju, podsuń proszę gazetę pannie Annie.

— Dziękuję, — odpowiedziała Anna z ruchem odmownym, nie czytam tego rodzaju gazet.

— Cha! cha! cha!—przerwała pana Noémi śmiejąc się,—trzymasz się pani gazet koloru swego stronnictwa, który u pani nigdy nie zblaknie.

— Rzeczywiście, kolor ten jest zdrowszy i pewniejszy dla Francyi jak czerwony, — odrzekła łagodnie Anna.

— Nie idzie tu o Francyą, lecz o nas, o nasze zdanie, o nasze prawa, a także i naszą przyjemność—powiedziała Noémi.—Gazety demokratycne są namiętniejsze i zabawniejsze od innych. Taką politykę czuć prochem, iskrzy się ona i burzy. Czytaj więc panno Anno i nawróć się.

Anna wstrząsła głową lecz wzięła gazetę i artykuł oczyma przebiegła.

— A cóż?—zapytała Noémi.

— A cóż, zdaje mi się że można czytać bez niebezpieczeństwa podobny artykuł w złoconym salonie lub w pięknym własnym powozie, lecz wyrobnik czytający go w kącie swego warsztatu, albo też biedny uczeń na poddaszu, o rewolucji łatwo zamarzyć mogą.

— A cóżby szkodziło gdyby ją zrobili,—odrzekła Noémi, śmiejąc się i ukazując swe swiecące zęby, mała rewolucya rozerwałaby nas trochę.

— Noémi, na nerwy mi działasz z twem upodobaniem do rewolucyi—odezwała się pani Drassart wąchając flakonik z eterem—nigdy ci rewolucjoniści przy władzy się nie utrzymają. Dobre są te gadnia w gazetach, książkach, przeglądach, klubach, lecz w rzeczywistości bardzo są nieprzyjemne. Z łaski rewolucji 48-go roku, całe dwa miesiące byłam bez powozu.

— I ja przeszedłem niedobrą chwilę—odezwał się jakiś udekorowany jegomość, krewny pani Drassart—grałem, wtedy na podwyżkę papierów, łatwo więc zrozumieć moje przerażenie. Jak słusznie utrzymujesz moja kuzynko, podobne deklamacye w gazetach i w ogniskach politycznych, to podnosi i zniża kursa

na giełdzie, wstrzymuje nienasycone roszczenia stronnictwa katolickiego i innych, ale rozruchy na ulicy nic warte, ten głupi lud zawsze gotów brać na seryo to, co mu prawią ci figlarze, którzy zbyt wysoko i często naszym kosztem, chcieliby mieć opłaconą własną ambicyą i wymowne deklamacye swoje.

— A jednakże mój wuju, są między niemi ludzie przekonania, — przerwała panna Noémi poprawiając loki.

— Ach! gdybyś ich tak jak ja znać mogła! — zaśmiał się szydersko gruby jegomość.

— Alež, mój wuju, gra ich jest niebezpieczną, wolność swoją narażają, a czasami i życie, — zawołała Noemi.

— Z własnej woli nie narażają się, moja droga;— odparł wuj—i ręczę ci, że nigdy chętnie nie utracają jednego lub drugiego. Daj im sto tysięcy dochodów, a będą siedzić spokojnie.

— To dowodzenia bankowego agenta, — zawołała impertynencko Noémi—nie lubisz ludu mój wuju.

— Prawdę mówiąc, nie lubię, i w tem podobny jestem do wszystkich bohaterów twoich.

— Ach! tego to już zanadto! ależ czytaj, czytaj!

I Noémi z oburzeniem podała gazetę wujowi.

— Czytałem i powiem ci nawet że widziałem jak go pisał figlarz, którego lud tyle co i mnie obchodzi, a na dowód jeszcze ci powiem, że mu na niczem nie zbywa i że biedaków do niego się zgłaszających, zawsze za drzwi wypycha.

— A jednak wszyscy ci ludzie w ogóle są ubodzy.

— Gdyż ci ludzie przedewszystkiem są utracjuszami; prowadzą życie hulaszcze i nigdy nie liczą. Biedni tego rodzaju nie wzbudzają we mnie żadnej litości.

A zresztą nienawidzą kapitału, co jest zawsze szlachetnem.

— Eh! eh! powiedz raczej że go nadużywają, są między niemi — mówię to na ich pochwałę — tacy, którzy nienawidzą kapitału w swoich pismach, a w prywatnem życiu bardzo mile go przyjmują. Nie czynię im z tego zarzutu, ja także lubię pieniądz i lubię porządek, lecz zawsze powiem że to są figlarze lub oszuści.

— Wuju, twoje słowa są oburzające! — zawołała Noémi z piorunującem wejrzeniem.

— Nie masz potrzeby tak gniewać się, moja droga Noémi, gniew dobremu trawieniu przeszkadza. Bierz sobie za bohaterów tych oszustów, mniejsza z tem! i zostawmy już tę rozmowę. Gdy poczniesz jakby Gorgona ciskać ogniste spojrzenia, czynisz na mnie wrażenie wściekłej rewolucyonistki.

— Bo nią i jestem! — zawołała Noémi, czarne swe brwi groźnie ściągając.

— Ależ doprawdy Noémi, co raz bardziej nerwy mi drażnisz, — wyrzekła pani Drassart żałośliwym głosem — wiesz jak we wszystkiem nienawidzę przesady. W dwunastu latach byłaś przejętą jakąś egzaltacyą religijną, wyleczyłam cię z tego, teraz znowu zachciwa ci się być rewolucjonistką, to nie do zniesienia i przechodzi już dozwolone żarty, moja córko.

— Niech się mama przejdzie, odpowiedziała panna Noémi, a nerwy mamy prędzej się uspokoją jak moje egzaltacye. Czy sądzisz że żartuję? W dwunastu latach nie miałam ani woli ani swobody, łatwo więc było zapanować nademną, lecz teraz mam jedno i drugie, i mam nadzieję ich użyć!

Po tych słowach wstała, i wyszła trzęsąc lokami w sposób bardzo znaczący.

— Doprawdy że Noémi zanadto do serca wszystko bierze, powiedział gruby bankier. Nie poznaję jej teraz, dawniej pierwsza ze wszystkiego się śmiała, a to weselszem było.

— Bezwątpienia, westchnęła pani Drassart, lecz od kiedy z nudów zaczęła czytywać wszystkie broszury i pomflety polityczne, marzy tylko o rewolucyi. Mój Boże! niech ona sobie i będzie, byleby tylko mój spokój nie był naruszony i poezya nasza zachowaua.

Po tej uwadze wypowiedzianej z wielkiem przejęciem się prawdą słów własnych, pani Drassart wyszła za nieustraszoną Noémi, która namawiała wszystkich aby się udać do kaskady dla odczytania tam jakiejś ognistej odezwy wielkiego Wiktora Hugo.

Wprawdzie naśmiewano się po trochu z jej demagogicznego zapału, lecz bardziej jeszcze nim się bawiono. Oryginalnie piękną była ona w tej roli Gorgony, gdy z najeżonemi czarnemi włosami, potrząsając loki, a iskry sypiąc z oczu, wyrazistym ustom swoim nadawała wyraz pogardy i szyderstwa.

— Wyraźnie pozuje, mówiono między sobą, z umysłu przybiera tę maskę oryginalności; sprawa ludu bynajmniej ją nie obchodzi, ale wie dobrze, że te deklamacye rewolucyjne i demokratyczne bardzo jej są do twarzy.

Gdy wszystkie rozrywki zostały wyczerpane, całe towarzystwo wróciło do Paryża i udało się na obiad do bogatego bankiera pana Plaśneau, który przygotował już był powozy dla odwiezienia wszystkich do teatru, natychmiast po obiedzie.

XIII.

E C H O.

Godziny z każdą chwilą pomnażające przyjemności zaproszonych, zwiększały przykrości biednej Anny. Wiedziała że z teatru wychodzi się o północy i z utęsknieniem liczyła minuty które ją od tej chwili oddzielały. U bankiera spojrzenie jej magnetycznie było utkwione w złocony zegar czas wymierzający, jak gdyby wzrokiem chciała przyspieszyć za wolny chód jego wskazówek.

Po skończonym obiedzie, mężczyzni wyszli na cygara, lecz prędko wrócili, cienkie głosy kobiece przywołały ich do salonu, w którym młody człowiek tylko co przybyły, uwiadamiał, że armja francuzka nową poniosła porażkę.

Wiadomość ta, na którą Anna pobladła, została przyjętą dość obojętnie.

— Żebyż przynajmniej ta wojna oswobodziła nas od czerwonego upioru! zawołał gruby bankier. Ja ciągłych zwycięztw nie wymagam.

— Porażka! to rzecz dość mdła, odezwał się jakiś dziennikarz, ale zasili mój wstępny artykuł, w którym dotychczas mogłem się tylko spodziewać lub przepowiadać zwycięztwo.

— To nowe niepowodzenie, cudownie rozwinie niektóre przedsiębiorstwa, szepnął do siebie Mefistofeles.

Mówiono jeszcze czas jakiś, o tym wypadku tak ważnym, i Noémi miała sposobność rozprawiać i wywijać chustką i wachlarzem.

— Miejmy się na baczności, aby przez zbytnią uczuciowość nie opuścić teatru i nie przybyć aż na akt trzeci, zawołał niespodzianie jeden z młodych ludzi. Panie zaledwie czas mają do zaopatrzenia się w okrycia, za dziesięć minut powinniśmy już być w drodze do teatru.

Wszczął się ruch wielki między kobietami które się rzuciły po okrycia swoje.

Anna wyszła za niemi, lecz natychmiast wróciła do sali ubrana jak do wyjścia i przywołując ręką Henryka:

— Wymykam się, — rzekła — dłużej już tu wytrzymać nie mogę. Biedz do teatru, kiedy nieszczęście spada na kraj nasz, byłoby zbytkiem nikczemności. Nie szukaj mnie, a nikt nie spostrzeże mego zniknięcia.

— Wszyscy to spostrzegą i bardzo za złe mieć będą, odpowiedział Henryk, obiecałaś się na dzień cały.

Anna spojrzała na niego z wyrzutem.

— Ach! nie nalegaj Henryku, powiedziała, do dna już kielich wypiłam, te męty mnie dławią.

— Rozumiem cię, odrzekł Henryk z westchnieniem, i nie zatrzymywałbym cię dłużej, gdybym miał odwagę puścić cię samą, o tej godzinie.

— Nie masz się czego obawiać, ztąd o kilka kroków jest stacya fiakrów. Jadę; do jutra mój bracie.

Wysunęła się do drugiego salonu, z salonu do przedpokoju. Niestety, w przedpokoju u drzwi wchodowych zastała Mefistofela na nią czatującego.

— Ach! pani uciekasz jak mi się zdaje?— zawołał — grzecznie jej drogę zastępując.

— Tak panie, — odpowiedziała Anna, zdobywając się na odwagę, — poleciłam bratu aby mnie wytłumaczył przed temi paniami; muszę wracać do siebie.

— A obietnica pani? mówił dalej z lekkiem szyderstwem, nikt tu nie pozwoli pani, tak łatwo o niej zapomnieć. Odwołuję się do mojej synowicy, — dodał głos podnosząc. — Noémi czy wiesz że pani ma zamiar nas już opuścić?

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Społeczne znaczenie poezyi i współczesne jej stanowisko w krótkim rysie skreślił Antoni Pilicki. Warszawa r. 1874 in 8 str. 48. Nakład A. Ł.

Broszurka ta, będąca widocznie połączeniem kilku artykułów, przeznaczonych zapewne do jednego z pism tygodniowych, ma na celu, jak to jej tytuł głosi, wykazanie: *społecznego znaczenia poezyi*, a tem samem współczesnego jej stanowiska. Pięknyto zamiar i zadanie wielkiej doniosłości, którego przecież autor nie rozwiązał i rozwiązać nie mógł w rozprawce o kilkunastu stronicach. Nadto, zająwszy zbyt jednostronne stanowisko, pracy swojej nadał charakter polemiczny raczej, niżeli naukowy. Bądź co bądź, można się z autorem w niejednym punkcie nie zgadzać, ale dobrych chęci odmówić mu nie podobna, zwłaszcza, że dotyka wielu kwestyi, o których lepiej coś, niżeli nic nie powiedzieć.

Na samym wstępie swojej rozprawki p. Pilecki dowodzi, że *poezya winna być ogniskiem uczuć i myśli współczesnej ludzkości.* Święta prawda! Dalej, że poeta, który za przedmiot swojego utworu bierze przeszłość *winien kierować się względami utylitarności(?)*, to jest takiemi, jak to nieco niżej objaśnia, *które mają duchowy związek z naszym życiem.* Jeśli tak pojęta zastała utylitarność, to i na to zgoda. Autor przyjmuje z pewnemi zastrzeżeniami i takie utwory poetyczne, *które zawierają zasadnicze podstawy ducha ludzkiego, uczucia i myśli, które na wieki tworzą niezmienną jego istotę.* Ależ i przeciwko temu nikt nie myśli protestować, chociaż trudno zrozumieć, co znaczą dodane następnie słowa, *aby utwory te odpowiadały nowym wymaganiom i potrzebom.* Jest-to ogólnik, tak dobry, jak każdy inny: cała jego wartość zależy na tem, jak będą tłomaczone owe *nowe wymagania i potrzeby*, pod któremi najczęściej rozumieć należy to, co pewnemu stronnictwu, albo nawet koteryi jakiej podobało się nazwać postępem.

Czytamy dalej: „jeżeli poeta nie *zapłacze* bólem ludzkości, lub nie *zaśmieje się* jej radością, jeżeli nie przemówi zrozumiałym dla niej uczuciem, ona ze wstretem odwruci stę od niego i obcych jej uczuć nie podzieli.” I słusznie z takim poetą postąpi, gdyż będzie-to zapewne jakiś mazgaj, który plecie, jak koval w gorączce. Wielcy poeci, do jakiejkolwiek należeli epoki nie byli takiemi mazgajami, więc przeszli

też do potomności opromienieni sławą, jak to sam autor przyznaje w krótkim zarysie rozwoju poezyi opartym na *indukcyjnej metodzie(!)* Z werwą młodzieńczą przebiega pan P. stare, średnie i nowe wieki, przytaczając głośne imiona poetów, którzy godnie swój czas reprezentowali. Jednym pędem przeleciał i naszą literaturę zestawiając ją z rozwojem samej społeczności, i charakteryzując poetów stosownie do swojego założenia. Charakterystyka ta krótka, ale niekiedy dość trafna.

W dalszym ustępie mówi autor: „każdy niech ma swoją odrębną, główną cechę, swój, jak się wyraża Taine, typ panujący, około którego wszystkie uczucia i myśli współczesnej ludzkości się obracają. Pobożny i mężny rycerz w średnich wiekach, zimny, dowcipny i pewien właściwego znalezienia się dworak w epoce dworszczyzny, dumny marzyciel w początkach XIX wieku, oto główne typy wskazanych przez nas epok. Teraz odpowiednio kierunkowi społecznego życia, za taki typ mógłby służyć *dzielny do czynu, energiczny mąż, pełen jasnej, samodzielnej myśli i wzniosłego ogarniającego bratni tłum, uczucia, mąż, który każdą chwilę życia składa na ołtarzu ofiary dla tych, z którymi brata go wspólność ziemskiego żywota*". Marzenia panie P., marzenia! Nie jest-to typ realistów, czy tam pozytywistów, w których imieniu przemawiasz; takiego typu oni nie znają i znać nie chcą. Widocznie przeniewierza się tu autor swoim, czy przyswojonym doktrynom i nie jest konsekwentny sam z sobą: zbyt-to idealny typ, aby okazał się praktycznym, trzeźwym, jasnym i t. d. i t. d.

Dalsze ustępy broszurki pana P. w bardzo odległym zastają związku z obranym przedmiotem. Autor deklamuje tu, jakimby chciał mieć pozytywizm nie zaś, jakim on jest w istocie. Co do tego pozytywizmu, przypominającego stare szermierki realistów z nominalistami, albo póżniejsze empiryków ze zwolennikami filozofii bezwzględnego stanowiska, pozwalamy sobie parę słów powiedzieć.

Otóż pozytywizm właściwie pojęty, niczem innem nie jest, jak prostą metodą indukcyjną, wielce pożyteczną, mianowicie w naukach przyrodzonych, był i jest praktykowany przez wielu myślicieli bez względu do jakiej zaliczają się szkoły. Nie tak się rzeczy mają z pewnemi doktrynami etycznemi, politycznemi, a nawet estetycznemi, które zamaskowały się niewinną nazwą pozytywizmu. Zwolennicy tych doktryn, to obłudni ateusze, materyaliści, samoluby, dla których dobrobyt (pieniądz) jest alfą i omegą wszelkich usiłowań; w szumnej nazwy *walce o byt* wszystkie środki są dobre, byle do celu prowadziły; wybornie ich posługiwać się można: poświęceniem, ofiarami, swobodą ludów, wolnością sumienia i t. d. i t. d. Dowodów na to dostarczają nam współczesne wypadki.

Poczciwa młodzież nasza, powodowana zbiegiem okoliczności, których wyjaśnienie na później sobie zostawiamy, zaciągnęła się.pod godła tak zwanego pozytywizmu, nie bacząc na to, że pod niemi służą ludzie, z któremi żaden myślący samodzielnie człowiek, nie chciałby nic mieć do czynienia. W imię pożywizmu z całym zapałem młodych prozelitów zaczęto głosić prawdę, którym żaden z piszących po polsku nigdy nie myślał zaprzeczać, owszem popierał je słowem i czynem, daleko pierwej, niżeli posłyszano o pozytywizmie.

Jałowe najczęściej badania abstrakcyjne, jako mozolne i w bezpośrednim nie zastające związku z samem życiem, nigdy nie przypadały do naszego usposobienia; nigdy tak zwana filozofia niemiecka nie mogła u nas głębokich zapuścić korzeni. Postęp był strasznie powolny, a gdyśmy, pomimo usiłowań Trentowskiego, a w części Cieszkowskiego i Libelta nie utworzyli własnej szkoły filozoficznej, chwycono się Lecomta, a raczej nazwy, jaką nadał swojej filozofii, i pod nazwą prawd pozytywnych najczęściej głoszono stare prawdy, tylko w nowe przybrane szaty. Konkurencya prassy peryodycznej skorzystała z tej nowości i nawet powstały nazwy pozytywistów(?), idealistów(?), ludzi postępowych i zacofanych i t. d. i t. d. Zawrzała walka na całej linii, naturalnie walka na słowa, i trwa prawie do tej chwili. Walka ta ma swoją złą ma i dobrą stronę; cieszymy się nadzieją, że ta otatnia weźmie przewagę, znamy bowiom młodych pozytywistów, ludzi zacnych, gotowych do poświęcenia się dla wszystkiego co wzniosłe i piękne, lecz znamy również bardzo pozytywnych ideallstów.....

Wracając do broszurki pana P., posłuchajmy, w jaki-to sposób przedstawia nam pozytywizm. Zaiste! tego pozytywizmu nie zaparłby się najzagorzalszy idealista. „Czego chce pozytywizm? mówi p. P.— Myśli jasnej i trzeźwej (ulubione wyrazy szkoły, do której się autor chce liczyć), myśli, coby objęła świat cały: naturę, ludzi, ducha i ciało, i zbadawszy *trzeźwym okiem* wszystkie objawy wszechświata, odkryła prawa rządzące ich bytem, prawa, za pomocą których wola człowieka kieruje naturą i ku celom wypływającym z potrzeb i dążności ludzkości obraca. Pozytywizm pragnie także uczucia. . . . . . Uczucie to ogarniać winno społeczeństwo całe i łączyć je węzłem bratniej miłości i zgody, winno zstąpić pod biedną strzechę, gdzie nędza z ciemnotą zbrodnię wyradza, do ponurych gmachów więzienia, gdzie zbłąkane istoty czekają słowa nawrócenia i pociechy, do wszystkich *zabytków* niedoli i zepsucia i wszędzie zasyłać słowa prawdy i miłości, rozświecać ponure cienie jasnym promieniem wiedzy, zgłodniałe usta nakarmić, otrzeć łzy bólu i niedoli, podnieść upadłe dusze współbraci. Ekonomiczne i społeczne kwestye, jakie pozytywna wiedza rozbiera, te a nie inne w szlachetnych sercach rozbudzają uczucia".

Co to deklamacyi! co tu słów próżnych!

Przeciwko komu wymierzone są wszystkie sarkazmy, wymysły, groźby, jakich sobie pozytywiści pozwalają, tego trudno pojąć. Jeżeli są obskuranci, bo gdzież ich nie ma, jeżeli są zwolennicy średniowiecznych wyobrażeń, to nie znajdują oni echa w naszej literaturze, a szczególniej w naszej prasie peryodycznej. Nawet pisma klerykalne (nasze) nie są przeciwne postępowi, tylko konsekwentnie same z sobą więcej cenią dobra niebieskie, niż ziemskie.

Co do pojęć estetycznych pana P., a w szczególności, co do kierunku, jaki pragnie, aby poezya przybrała, zgadzamy się w niejednym punkcie, mianowicie tam, gdzie mówi, aby przestała być konwencyonalną, a stała się więcej żywotną; lecz nigdy zgodzić się nie możemy, a znami zapewne najpozytywniejszy estetyk, aby każdy przedmiot pożyteczny i praktyczny miał się nadawać poezyi, będącej *zawsze* obrazowaniem piękna. Koleje żelazne, telegrafy, fabryki wszelkiego rodzaju, a nawet aparaty Bergiera są wielce pożyteczne, wątpić się jednak godzi, aby natchnąć mogły najrealistycznego poetę. Nadto ujemna strona ludności niezawsze może być uwydatniona w poezyi. Jako kontrast, jako cień obok światła znajdowała i znajduje w poezyi miejsce, lecz aby ją wyłącznie obrazować w całej ohydzie, aby namiętności zwierzęce, wszystkie brudy społeczne brać za przedmiot natchnionej pieśni, na to nie pozwala wrodzone człowiekowi poczucie piękna.

Dopóki poezya będzie poezyą, dopóty brzydkie nie stanie się pięknem. To, co autor mówi o utworach poetycznych p. Ordona, co najmniej nie na swojem miejscu.

J. P.

LIST DRUGI Z CHICAGO

w Ameryce północnéj.

Z LIVERPOLU DO NOWEGO YORKU.

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tak wśród majtków, przy gawędach, pieśniach i uczeniu się nomenklatury powrozów i sprzętów morskich, spływały wierzory. Między 6-tą a 8-mą, gdyż majtkom wolno oddawać się zabawom, słyszałem niejedną powiastkę lub balladę godną powtórzenia, lecz nie umieszczam ich dla braku miejsca.

Nadeszła Niedziela. O dziesiątej z rana zawezwał głos dzwonu na służbę Bożą odbywającą się w salonie. Majtkowie i podróżni bez różnicy klas i względu na odzież, zalegli komnatę, ozdobioną w zwierciadła i meble wybijane aksamitem. Przez dwie godziny, oficer i majtek, bogaty kupiec i biedny wychodźca, przy jednym siedzieli stole i byli równi w obliczu praw morskich, jak są równemi w obliczu Boga.

Stary kapitan czytał pełną poezyi liturgię morską angielską, najpiękniejsze bowiem modlitwy w książce do nabożeństwa kościoła anglikańskiego ułożone są do odczytywania na statkach. Naród prześcigający wszystkie inne w żegludze, którego życie w znacznej części na morzu upływa, którego byt polityczny i chleb codzienny od morza zawisły, umie się i modlić na morzu.

Kapitan czytał modlitwy i odgrywał rolę kapłana, choć nie brakło księży. Przywilej ten służący dowódzcom statków i pilnie przez nich strzeżony, ma wiele korzyści. Katolik i protestant mogą się przyłączyć do modłów wychodzących z ust patryarchy okrętowego, wolnych od wszelkich sekciarskich uwag i li proszących Pana Zastępów, by łaskawie spoglądał na nas, błądzących na kruchej barce po burzliwym oceanie i ufających nie we własny rozum lub siły, lecz iż dobijemy do portu za Jego opieką potężną.

Francuzi, Włosi, Anglicy, Niemcy i Polacy, powtórzyli Amen przy końcu modlitwy, każdy czuł się po niej śmielszym i odważniej spoglądał przez okna salonu na bałwany ciskające pianę o ich szyby.

Wtem jak Filip z konopi wyrywa się pan Ashevorth i poczyna prawić kazanie. Kapitan, przez uszanowanie dla autora dzieł dość popularnych, pozwolił mu, by przemówił kilka słów do nas.

Wspomniałem już, iż człowiek ten cierpiał cokolwiek na monomanię religijną. Kazanie jego napuszone cytatami ze starego testamentu, i wezwaniami do Ducha Świętego, by nas oświecił i napełnił pogardą ku zaślepionemu Rzymowi i anglikanizmowi, dowiodło mi, że nie pomyliłem się w sądzie mym, gdy gò po pierwszej już rozmowie wziąłem za jednego z owych fanatyków, którzy choć wołają o tolerancyą dla siebie, posłaliby wszystkich mniej zagorzałych na stos inkwizycyjny.

Zanim dokończył kazania umknąłem z sali, niechcąc dłużej słuchać bredni i patrzeć na konwulsyjne gesta pieniącego się fanatyka.

Po południu w Niedzielę zebrali się Francuzi, Włosi i Niemcy na sztabie statku i poczęli tańczyć przy muzyce katarynek. W okrętach czysto angielskich byłoby to rzeczą niesłychaną, by tańczono lub śpiewano w Niedzielę, lecz na statkach wywożących wychodźców wszelkich narodowości i wyznań do Ameryki, zwykle tolerują takowe gwałcenie Sabatu.

Lecz fanatyzm musi być zaraźliwym jak wszelkie inne choroby. Dwaj kupcy francuzcy jadący

w salonie, zachęceni widocznie przykładem pana Ashworta, zapragnęli popisywać się ze swą wymową i wymogli na kapitanie że zakazał muzyki i tańców. Gdzie Włoch stał i grał na katarynce, oni stanęli i zgromadziwszy kilku Francuzów około siebie, poczęli śpiewać psalmy, a potem z kolei odgrywać rolę księży i prawić kazania.

Większość podróżnych, oburzona przerwaniem zabaw i natręctwem panów tych, którzy, jako katolicy zupełnie nie mieli prawa bawić się w kaznodziejów pokładowych, sarkała i przygotowywała się do spędzenia ich z pokładu. Byłoby może przyszło do kłótni, gdybym nie wpadł na myśl zgromadzenia kilku znajomych o jakie sześć kroków od tych panów, i potem wszedłszy na beczkę stojącą na pokładzie i krzycząc niemniej jak niepowołany kaznodzieja, począłem prawić androny w pięciu na raz językach.

Oczywiście, iż mowa której jedno zdanie było po niemiecku, drugie po francuzku, trzecie po włosku, czwarte po angielsku, a piąte po polsku, zwróciła uwagę wszystkich obecnych. Słuchacze odbiegli mego rywala i poczęli śmiać się z mej oracyi i gestów. Sam kapitan domyślił się, iż dziwaczne wystąpienie było satyrą nie na pobożność, lecz na świętoszkostwo tych fałszywych proroków. Może w duszy zżymał się na me kazanie, nie mógł go jednak wzbronić, gdyż jeżeli komu służyło prawo prawienia religijnych andronów, to z pewnością człowiekowi mogącemu prawić je we wszystkich prawie językach używanych na okręcie.

Panowie Francuzi znikli z pokładu, a w kilka minut po ich zniknięciu brzmiały katarynki, i zamiast psalmów, kilkanaście par tańczyło skocznego walca; i spędziliśmy resztę dnia na sposób kontynentalny, w zabawach wesołych i niewinnych.

Już w Poniedziałek zmieniła się pogoda. Mgły, słoty i burze zwykle panujące w porze porównania dnia z nocą nawiedziły i Atlantyk w tym roku. Większa część podróżnych trzeciej klasy znów chorowała i jęczała u drzwi naszych, ja chroniłem się od widoku ich pomiędzy majtkami.

Około Czwartku przybyliśmy do owej części oceanu oblewającej brzegi Nowej Fuindlandji, zwanej przez Anglików *Banks* of *Newfoundland*. Morze tu płytkie i mieliznami zasiane żywi miliony ryb, tysiące statków poławia tu w porze letniej stokfisze i makrele. Kilkakrotnie, gdy wiatr rozwiał całun mgły, dostrzegliśmy ich żagle; a gdy powietrze znów się zasępiło ostrzegano je co minuta głosem parowej piszczałki, iż parowiec nasz niedaleko od nich.

Ze wszystkich niebezpieczeństw morskich, mgły gęste są pewno najzdradliwszemi. Kapitan bez widoku gwiazd i słońca nie może obliczyć dokładnie położenia okrętu, majtkowie choć czujni nie dojrzą statku zbliżającego się ku naszemu, ciągle więc grzmią dzwon i piszczałka, w ten tylko bowiem sposób można zawiadomić sąsiednie żaglowce, gdzie jesteśmy i ostrzedz je, aby usunęły się z drogi.

Lecz choć od spotkania z innym okrętem wybawi ten środek, nie usunie on z drogi naszej mielizny lub skały; najczęściej też podczas mgły najeżdżają na nie statki i rozbijają się. Na kilka dni przed naszem przybyciem w te strony, zagrzązł tu na mieliznach parowiec należący do tychże, co i nasz właściciel i sześciu utracił majtków, zanim znów go wydobyto na głęboką wodę. Któż zaś nie czytał jak przed półrokiem parowiec „Atlantyk,“ rozbił się wśród mglistej nocy na brzegach Nowej Fuinlandji i 600 osób pociągnął za sobą na dno morza.

(d. n.)

SŁOWKO
O TEGOCZESNĖJ POEZYI WŁOSKIĖJ

PRZEZ

Joannę Belejowską.

I.
Kobiety poetki.

(Dalszy ciąg.)

Widzimy więc, że w poemacie tym jest wiele nieprawdopodobieństw, jednak przyznać trzeba, iż daleko więcej uwydatniają się one w krótkiej treści niż w całym poemacie, gdzie ugrupowane są nader zręcznie, tak iż wiele czytelników prawie ich nie dostrzega. Inne charaktery osób wchodzących do opowieści, są doskonale oddane i dowodzą wielkiej znajomości serca ludzkiego. Ojciec Alberta jest wybornym typem komicznym; Emlii, Eliza, Agnieszka, pociągają ku sobie czytelnika, charakter Malwiny byłby wybornie narysowanym, gdyby nie to, że chcąc wytłomaczyć tak nagłe odkochanie się Alberta, panna Lutti domięszała w końcu zbyt czarnych kolorów, niczem nieusprawiedliwionych. Jednak mimo tych userków, jest to poemat znakomity, i nikt może od czasów Ariosta nie władał tak biegle piórem w strofach ośmiowierszowych, a przejście z jednej pieśni do drugiej odbywa się z wielką łatwością i wdziękiem. Czy to w zwrotach smutnych, tkliwych czy dowcipnych, autorka umie utrzymać się na wysokości swego zadania i wznosząc z trudności, jakie umiała pokonać na początku poetycznego swego zawodu, możemy jej świetną obiecywać przyszłość.

Przejdźmy do innej poetki włoskiej, równie sławnej z piękności jak ze znakomitego talentu, jest nią pani Fua Fusinato, mieszkającą w Wenecyi. Wydała ona zbiór poezyj lirycznych i nader rzewnych elegii, i obok tego znaczną ich liczbę rozrzuca ciągle po dziennikach i pismach periodycznych; lecz piękna poetka zawdzięcza głównie swą sławę ślicznej *Canzone* (pieśń leryczna) napisanej do Leopardi'ego, i znakomitym *Stornelli*. pieniom napisanym z powodu przeniesienia stolicy z Florencyi do Rzymu.

Oda do Leopardi'ego jest wymowną i nader dowcipną apologią kobiet, którym wielki wieszcz tak ni czem nieusprawiedliwioną okazuje pogardę, w słynnych swoich wierszach. Pełna współczucia i litości dla cierpień nieśmiertelnego wieszcza, pani Fua—Fusinato uznaje wyższość jego geniuszu, ale chce przynajmniej dorównać mu sercem, i dla tego w nieszczęśliwem życiu jego szuka powodów usprawiedliwiających jego szyderstwa I oto jak mówi do niego ślicznym wierszem, który podajemy w przekładzie prozą.

„Niestety! widać żadna kobieta nie ukochała ciebie tą bezgraniczną miłością, której daremnie przyzywałeś w młodocianych latach, i której gorące, nienasycone pragnienie, wraz z tobą zstąpiło do grobu. Zawsze samotny i nigdy niepojęty przyzywasz zemsty obrażonej muzy, i każda kobieta czytająca wzniosłe utwory twoje, czuje się przygniecioną nieubłaganą pogardą.

„Ale czytając poezye twoje stałyśmy się lepszemi, i ilekroć pomyślimy o tobie podwaja się w sercach naszych litość dla wszystkich istot, którym natura była macochą, i staramy się osłodzić gorzką ich dolę. Jeźli duch twój patrzy na nas z wysokości niebios, i widzi jak tym nieszczęśliwym podajemy dłoń z współczuciem, wynagrodź nam łzy wylane nad nimi jednym z tych słodkich uśmiechów jakich odmawiały tobie współczesne kobiety.“

W dwóch następujących strofach, poetka równie piękne rozwija myśli i kończy odę swoją uwagą: że przeznaczeniem jest wielkich geniuszów, aby stąpali po cierniach, dla pozyskania wieńca nieśmiertelnej sławy.

Stornelli napisane były na dzień 20 września 1870 roku, z powodu przeniesienia stolicy z Floreucyi do Rzymu, Wiersze te wydane były kosztem miasta Flocencyi; i tu w każdej strofie widnieje niezaprzeczony talent; oto jeden ustęp:

„Romo, teraz gdy jesteś naszą, z niewysławionem szczęściem oddaję tobie piękną koronę, którą zatrzymywałam tylko jak święty depozyt. Pewnego dnia ofiarowały mi ją siostry moje; przyjęłam ofiarę bez radości i bez niepokoju; bez radości bo czułam jak to ciężkie do dźwignięcia brzemię odpowiedzieć godnie na uczyniony mi zaszczyt,—bez niepokoju, bo miłość ojczyzny osłodziłaby mi najcięższe nawet ofiary. Teraz, spełniwszy wielkie moje posłannictwo, ze słuszną dumą i pogodnem czołem, oddaję tobie w tej chwili i chwałę i nieodłączne od niej obowiązki i ciężary.“

W przekładzie takim możemy wiernie oddać myśl, ale niepodobna dać pojęcia formy i harmonijnego uszykowania wyrażeń, tak wiele wdzięku dodającego i tak już śpiewnemu językowi włoskiemu.

W małem miasteczku Recanati, w którem przyszedł na świat sławny Leopardi, ujrzała światło dzienne młoda poetka, pani Alinda Brunamonti. Sławny wieszcz ciskał gromy na rodzinne miasto, przeciwnie pani Brunamonto tęskni ciągle do niego, opiewa piękne położenie, a w poezyach jej p. n, *Note campestri* (Głos ze wsi) wspomnienia jej i żal głośnem odbijają się echem. Niekiedy zdaje jej się, że staje się cieniem samej siebie i zapożyczywszy skrzydeł od jaskółki, przelatuje w jednej chwili całą przestrzeń oddzielającą ją od miejsca urodzenia, i tam zwiedziwszy dom ojczysty i mały ogródek, tak przemawia do jaskółki:

„Gdy zobaczysz że w małym ogródku, w którym zazwyczaj polewam ulubione moje kwiatki, przestał żyć piękny owad z błyszczącemi skrzydłami, a róże opóściły owe zwiędłe główki, wtedy powiedz sobie, przelotna jaskółeczko: Przyjaciółko moja już nie żyje,“ powiedz, miła jaskółeczko: „Przyjaciółka moja zasnęła i spoczywa.“

„O! przyleć wtedy na twych szybkich skrzydłach, przyjdź odwiedzić mnie spoczywającą na cmentarzu pod zieloną darniną, przyjdź w chwili, gdy się uczuwa w duszy niewysławioną rozkosz boleści, w chwili gdy odradza się w nas pamięć minionych miłości, w chwili gdy dzień znikający z horyzontu, zdaje się mówić nam: „Tak ulata życie nieszczęśliwego!“

Przytoczony wierszyk należy do najlepszych w pierwszym wydanym zbiorze, niewszystkie odznaczają się równie piękną formą, ale wszystkie tchną czystem uczuciem, Wyżej jeszcze od objętych w tym zbiorze stoi wiersz *Wspomnienie* tak pod względem formy, harmonijności jak głębokiego uczucia, nic zarzucić tu nie można, a w świeżo wydanym poemacie *Nadzieja i pociecha* (Sperance e conforti) talent autorki zajaśniał w całej pełni.

W całym wyż-wspomnianym zbiorze prawie ien znajdzie poezyj słabych i miernych, a wiele utworów nacechowane są wzniosłem, prawdziwie poetyckiem natchnieniem, i możnaby przeciw stawić je rozpaczliwym pieśniom *poety nicości* Leopardie'go, który zaprzecza przyszłego życia i głosi że wszystko jest próżnością; (infinita vanita del tutto). Jak kolwiek pani Brunamonti zbija rozpaczliwe teorye nieśmiertelnego swego współziomka, jednak napisała wiersz na cześć jego, nie ustępujący w niczem odzie pani Fua—Fusinato. Czytelnikom znającym język włoski, polecamy pełne wdzięku, uczucia i świeżości poezye pani Alindy Brunamont.

Pani Rozyna Muzio—Salvo, urodzona w Palermo posiada także wiele zdolności poetycznej; pióro jej nie jest tak płodne jak pań Fua—Fusinato i Alindy Brunamonti, jednak ogłosiła już drukiem przeszło

czterdzieści utworów; prawie wszystkie pisane są w duchu patryotycznym. Kocha ona wielkie zjednoczone Włochy, ale najdroższą jej jest wyspa rodzinna urocza Sycylia. W poemacie swoim, *Il culto* (Cześć Boga) zamieściła piękny ustęp pochwalny dla swej ukochanej Sycylii:

„O! Sycylio moja uwielbiona! o ty! co tak w dniach radości, jak w dniach żałoby, byłaś i jesteś zawsze wierną starej twojej wierze! jekżeś ty piękna, wspaniale piękna, ziemio miłości i sztuki! w której geniusz ludzki dokonał największych swych cudów.

„Piękną jesteś, gdy gwiazda dzienna oświeca błękitne przezrocza wód twoich, lub przepyszną szatą zieleni osłania urodzajne twoje niwy. Piękną jesteś, gdy wyłaniasz się zwolna pośród przejrzystej zasłony uroczej atmosfery; piękną jesteś gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca znikają z horyzontu, lecz niebiańską prawdziwie jaśniejesz pięknością, gdy dzieci twe ukorzone u stóp Przedwiecznego, w jednej wspólnej modlitwie wyrażają Mu swoją cześć i miłość.”

Cała ta poezya, z której jeden tylko przytoczyliśmy ustęp, odznacza się podniosłością ducha i gorącą wiarą. W tymże zbiorze zasługują jeszcze na wzmiankę poezye p. t. *Dzień zaduszny w Termini* (Il giorno dei morti in Termini) i *Francesca Rimini* lecz talent pani Rozyny Muzio—Salvo uwydatnił się najlepiej w jej poezyach politycznych. Śliczny jest poemat, jaki napisała po wyjściu z pracowni znakomitego malarza, Andrea d'Antoni, gdzie zachwycała się obrazem przedstawiającym spotkanie się Sordella z Dantem. Autorka nader trafnie umiała zastosować przedmiot obrazu do *Boskiej komedji*, przeciwstawiając te dowody przyjaźni, jaką okazują sobie wzajemnie ci dwaj obywatele Floroncyi i Mantui, nieukrywanej niechęci jaka po dziś dzień rozdziela niektóre sąsiednie miasta na Półwyspie. Piękne także są niektóre myśli w odzie napisanej na część Gianniny Milli, lecz w ogóle brak pięknej formy, która grzeszy, to przesadą to znów niekiedy zaniedbaniem. Jednak późniejsze utwory co raz mniej zasługują na ten zarzut, i niezawodnie pani Muzio byłaby zajęła wysokie stanowisko w poezyi włotkiej, gdyby przedwczesna śmierć nie przecięła pasma jej życia. Pani Rozyna Muzio—Salvo umiała zjednać sobie ogólny szacunek i współczucie ziomków.

Równie czystem uczuciem i duchem pobożności, jak utwory pani Muzio—Salvo, tchną poezye pani Conczettiny Feleti, która wyłącznie prawie poświęciła swe pióro na cześć ukochanej ojczyzny i domowego ogniska. Piękny jej talent objawił się w bardzo młodocianych latach. Conczettina Ramondetta dziś pani Fileti urodziła się w końcu 1835 roku, a już w pocżątku 1849 roku młoda, zaledwie 13 letnia dzieweczka napisała *Zbiór pieśni* (Cantica) zalecający się łatwością wierszowania i strofami bardzo rzewnemi, które dawały już poznać wielki, mający się rozwinąć talent. W pietnastym roku życia, napisała odę na część Stamury, bohaterki Ankońskiej, pełną werwy i wzniosłych porywów, którą kończy tym pełnym zapału zwrotem do Włoszek.

„Obyście wszystkie pałały wzniosłą żądzą wydawania na świat bohaterów! Tym tylko oddajcie serca wasze, którzy kochają całą duszą i wiernie służą swemu krajowi, a przeklęta! stokroć przeklęta niech będzie kobieta, któraby zdolną była nikczemne rady dawać ukochanemu.”

W tymże czasie (1850) młode to, natchnione dziewczę, napisała jeszcze kilka pięknych poezyj, w małym pokoiku swoim w Palermo, z pomiędzy których odznaczają się *Bel giorno d'inverno;* (piękny dzień zimowy), *Nel mio giardino* (W moim ogródku), a szczególniej *Nozze* (Wesele) i *Donne Suliote*, w których w każdym wierszu drga szlachetne poczucie posłannictwa kobiet oświeconych, w tej epoce wstrząśnień i przewrotów, których ostatecznych następstwo pewnie nie doczekają obecne pokolenia.

Przyszłość nie zawiodła nadziei. jakie rokował wiek młodociany poetki, która już w siedemnastym roku życia została żoną i matką, i doskonale umiała pogodzić obowiązki względem rodziny i kraju, Pisała pełne zapału wiersze na cześć króla *Galantuomo* i bohaterskiego zwycięzcy z pod Marsali, ale jednocześnie nie zapominała o wielkich i świętych obowiązkach matki kilkorga dzieci, i układała dla nich wierszyki pełne uczucia i prostoty, w których odbijają się jej radości i smutki.

Taki rodzaj poezyi był do owej chwili mało bardzo uprawiany we Włoszech; zbiorek wydany przez panią Feleti od razu wielkiem cieszył się powodzeniem, co nie tylko literackie ma znaczenie, lecz jest zarazem nader ważnym symptomatem moralnym. Wielki-to zaszczyt przynosi Włochom, że zaledwie odzyskawszy niepodległość, zapragnęli zaraz ustalić podstawy społeczeństwa, zapewniając prawa kobiet i przywracając rodzinie należne jej stanowisko. Conczettina Fileti pisze w tym właśnie ducbu i sama jest wzorową córką, żoną i matką; w jej utworach jest jakiś nieprzeparty wpływ i urok, silnie oddziaływający na czytelników, i wywołały już one wiele pięknych czynów zbudziły wiele poświęceń w łonie ludności tak niedawno jeszcze prawie dzikiej i w grubej pogrążonej ciemnocie, która zdawała się skazaną na nieodwołalną nędzę fizyczną i moralną.

D. c. n.

Wiadomości bieżące.

Dnie krótsze, wieczory chłodniejsze skłaniają naszych zagranicznych turystów do powrotu w domowe zacisza, do oderwania się od tych świetnych widoków zagranicznej przyrody, które wprawdzie wzrok pieszczą, ale za to kieszeń wycieńczają straszliwie. W rodzinnym zakącie niebo nie takie jasne, góry nie tak wyniosłe, ale serca cieplejsze i życie poważniej, milej, a nadewszystko pożyteczniej się przędzie.

Choroba zagranicznych wycieczek czepiała się nas różnemi czasy i przeszła pewno w stan chroniczny. Wyśmiewali ją najznakomitsi nasi pisarze, Korzeniowski całą komedyę tej tylko poświęcił słabości. Cóż z tego, kiedy na organizm społeczny niewiele wpływu wywarły te środki lecznicze. Sprowadziły one jedynie pewien rodzaj faryzeizmu, pewną bezużyteczną zgoła wstydliwość, która w niczem zakorzenionego złego nie usuwając, w inne go tylko przystroiła formy. Dawniej szlachcic niezamożny zapożyczając się u żydów, aby zwiedzić zamorskie krainy, chełpił się z tego przed całym światem, imponował za powrotem rzeszy zawstydzonych sąsiadów. Niektórzy z nas pamiętają jeszcze zaginiony dziś typ młodzieńca, który każdy frazes rozmowy rozpoczynał od słów: „gdy byłem w Paryżu...“ Dziś próżność, jako pobudka do zagranicznych wycieczek, znikła z widowni. Natomiast zastąpiły ją inne. Najważniejsze wśród nich miejsce zajmuje zdrowie, ten szacowny dar Boży, o którym według słów poety: „nikt się nie dowie jako smakuje, aż się zepsuje.“ Wprawdzie przed laty nikt nie jeździł do żadnych tam zdrojów mineralnych, a przecież ojcowie nasi z siły i czerstwości słynęli. Ale dziś tak się jakoś ułożyły warunki życia, że zanim jeszcze pełnią sił młodzieńczych odetchnąć zdołamy, zanim krew ogniem w żyłach zakipi, a serce do pragnień szalonych uderzy, już tracimy cerę, wesołość, swobodę i musimy przez długie lata wieść egzystencyą sztuczną, pożyczać na lichwiarskie procenta te zasoby, które dawniej darmo udzielała przyroda. Trudno to jednak przeciw wodzie płynąć. Nie idzie wszakże zatem, abyśmy smutno nasze charłactwo mieli okazywać u wszystkich zdrojów całego świata. Mamy przecież dosyć wód bliższych, w których koszta podróży i pobytu o połowę mniej kosztują. Dla piersiowych jest Szczawnica i jodłowe lasy Ojcowskiej Doliny, dla skrofulicznych Busk, Solec i Ciechocinek, dla osłabionych na żołądku Druskieniki, dla nerwowych kuracyę hydropatyczną w Nowem-Mieście, że już pominiemy kumys, ścieśnione powietrze, Instytut w ogrodzie Saskim, Krasińskim i t. p. Po co nam więc szukać Graefenbergów, Gleichenbergów, Karlsbadów oraz innych *bergów* i *badów*?

Drugą pobudką wywabiającą zagranicę znaczny kontyngens tutejszo-krajowców są nudy. Już-to nudzić umiemy się doskonale. Od czasu jak poczęliśmy wiele filozofować, a mało robić, nie ma człowieka, którvby się nie nudził, przynajmniej przez trzy godziny dziennie. Jestto choroba tak dobra, jak każda inna, a najlepszem na nią lekarstwem podobno praca, ale jeżeli komu koniecznie chce się być znudzonym, niechże szuka rozrywek wśród naszych pól szerokich pod cieniem naszych lasów, nad wodami rzek naszych.

Są jeszcze inni którzy podróżują dla nauki, dla rozszerzenia widnokręgu pojęć, zbadania obyczajów, poznania instytucyi, któreby na naszym gruncie z pożytkiem zaszczepić można było. Tym składamy nasze uszanowanie i życzymy szczęśliwej drogi.

Ci wszyscy, którzy szukają rozrywki na nudy, odetchnienia po pracy, lub wreszcie poratowania sił nadwątlonych, tłoczą się ze swego pociągu ku zamorskim siedzibom, niewygodami, jakich doświadcza każdy, co pragnie przepędzić lato, choćby tylko o dwie wiorsty za rogatkami. Na tak zwanych willegiaturach nędzne szopy zastępujące mieszkania, brak środków do zaspokojenia najelementarniejszych wymagań komfortu, mnóstwo kurzu i spiekoty, od której nic nie chroni. U wód mineralnych ta sama historya. Tu brak mieszkań, tam znowu łóżek, pościeli, zebrań towarzyskich, gazet, czytelni i wielu innych rzeczy.

Narzekania te mają niestety słuszną podstawę. Aż strach pomyśleć, ile to kapitałów naszych krwawo zapracowanych nieraz pochłania zagranica, dla tego tylko że my powodujemy się zwykłą naszą niezaradnością, ospalstwem. Jakżeby się podniósł nasz przemysł, rozwinął handel, uwielmożnił ogólny dobrobyt, gdyby te wszystkie zasoby het! gdzieś w piórze, wsiąkały w własne społeczeństwo. Dla czego nie zawiąże się jakie towarzystwo akcyjne, mające na celu zaprowadzenie ładu u źródeł mineralnych; w uroczej dolinie Ojcowa i na miejscach letnich siedzib otaczających wieńcem Warszawę. Kapitałów dostarczyliby z pewnością wszyscy chorzy, wszyscy tęskniący do wypoczynku po pracy, wszyscy znudzeni. O! gdybyśmy posiadali choć połowę tego, co marnujemy corocznie przez niezaradność, jakże bylibyśmy bogaci!

W tej chwili główną uwagę ogółu, zwraca na siebie Wystawa rolnicza. Jest ona ogniskiem wielu rozmów, wielu sporów i wielu nadziei tutejszych przemysłowców, których tak traktuje po macoszemu. Wyludnienie Warszawy sprowadziło taką stagnacyą w miejscowym handlu, że Wystawy oczekują jego przedstawiciele jak niegdyś ich protoplaści manny na puszczy. Pod względem rolniczym wystawa oddać może krajowi usługi niepospolite. Może, powiadamy, gdyż wszystko tu zależy nie tyle od Komitetu Wystawy i wystawców, ile od samych-że właścicieli ziemskich i udziału, jaki w tym ważnym akcie przyjąć zechcą. Dotąd pocieszającym jest objawem skwapliwość, z jaką wystawcy zajmują się nadsyłaniem

okazów, pocieszającym jest również konkurs 22-ch żniwiarek odbyty na polach Rakowca, któremu przypatrywało się około 200 umyślnie w tym celu przybyłych obywateli. Budynek Wystawy jest obszerny i okazały, lista wystawców arcypoważna, pytania konkursowe postawione przez Komitet do rozwiązania dotyczą najważniejszych, najbardziej palących kwestyi naszego rolniatwa, mianowicie: nawozów sztucznych, poprawy rass inwentarza, zastosowania maszyn i narzędzi, drenowania gruntów i t. p. Ze wszystkiego widać, że Wystawa będzie pod każdym względem dziełem poważnem o celach naukowych i praktycznych, rozumnie obmyślanych, nie zaś zabawką chwilową dla ciekawości Warszawiaków i zadowolenia próżności kilku wybitniejszych gospodarzy rolnych urządzoną, jak to miało miejsce z poprzedniemi próbami tego rodzaju. Spoważnieliśmy wiele, pragniemy postępu rzeczywistego, nie na pozorach czczych, lub chęci błyszczenia opartego. Dążenie to do istotnych i trwałych zdobyczy przejawia się powoli, ale ciągle we wszystkich kierunkach naszej działalności społecznej. Spodziewać się więc należy, że Wystawa zgromadzi znaczną ilość rolników z całego kraju, którzy przybędą badać z jej pomocą warunki postępu i środki ulepszeń. Sądzimy także, iż nie na tem tylko ograniczy się działalność ogółu około podniesienia rolnictwa, które nas żywi. Po Wystawie Warszawskiej, powstaną bezwątpienia Wystawy mniejsze powiatowe, z których będą mogli korzystać drobni rolnicy, włościanie, mający w swoich rękach ¼ część ziemi uprawnej.

Dla czego dobra wiara w stosunkach pomiędzy ludźmi tak znacznie osłabła, nie tu miejsce badać. Ograniczymy się na przytoczeniu faktu, który powinien służyć za przestrogę i dowód, że umowy ustne gorsze są od piśmiennych. Dyrektor pewnej instytucyi przemysłowej, pragnąc rozszerzyć granice jej działalności, zamierzył otworzyć filię w innem mieście i do tej filii potrzebował naturalnie pewnej liczby oficyalistów. W tym celu zawarł umowę z młodym urzędnikiem w biurze rządowem, skłaniając go do wzięcia dymissyi i przyrzekając 1500 rubli rocznej pensyi. Urzędnik podał się do uwolnienia, które otrzymał, — pracował siedem miesięcy w zarządzie instytucyi tytułem próby, po upływie zaś tego czasu pokazało się, że filia nie ma szans powodzenia, i kandydat na posadę musiał pójść z kwitkiem. Instytucya nie uwzględniła słusznych jego pretensyi do wynagrodzenia strat, i spór wniesiony został na drogę sądową. Poszkodowany urzędnik przegrał w I-ej instancyi z tego przeważnie powodu, że nie było umowy na piśmie.

Z początkiem bieżącego roku szkolnego powstaje w Warszawie kilka zakładów naukowych żeńskich i męzkich. Pomiędzy temi ostatniemi, dwa przyjęły realny kierunek nauczania. Zasługuje ze wszech miar na pochwałę uwzględnienie higienicznych warunków przez nowe zakłady, pomieszczenie klass w salach wysokich, dobrze oświetlonych i wentylowanych, urządzenie ławek według systemu uznanego za najlepszy na ostatniej Wiedeńskiej wystawie. Mnożące się ciągle zakłady naukowe prywatne w większych miastach naszego kraju dają możność zdobycia wykształcenia średniego dla młodzieży nie mogącej znaleźć miejsca w gimnazyach rządowych. Natomiast wykształcenie elementarne na bardzo nizkim znajduje się u nas stopniu, szkół ludowych posiadamy mało, a nowe leniwie się tworzą!

Nowości literackich i wydawniczych mało w obecnej porze. Sztuki piękne drzemią, teatr daje znaki życia chorobliwego, obfitego więcej, w rozkładowe, aniżeli w umoralniające i uszlachetniające pierwiastki. Z dniem 1 Października ma wrócić do życia pod nową redakcyą Ognisko Domowe, zmarłe przed rokiem na suchoty. Redakcyą objął pan B. Przyrembel kandydat prawa i administracyi.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrowa p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVII.

Poezya ludowa.

(Ciąg dalszy).

W tymże samym XVII-ym wieku, wytworzyła się jeszcze oppozycya zupełnie innego rodzaju. Energiczne środki jakie patryarcha Nikon zaprowadził przeciw dyssydentom i gwałtowna repressya zbuntowanych strzelców, po większej części starowierców, były powodem, że wiele bardzo osób uciekało jak najdalej od Moskwy. Jedni chronili się do kozaków, inni kryli się w lasach Syberyi i północnej Rossyi i tam budowali sobie pustelnicze domki. Wtedy to powstały *pieśni religijne* tak zwane *dyssydenckie;* odznaczają się one duchem ascetycznym posuniętym do ostateczności, i dążnościami nieprzychylnemi zarówno dla rządu jak i całego społeczeństwa. Wystawiają życie zakonne, przy równywając je do raju i pocieszają pustelników obietnicą złączenia z Jezusem Chrystusem. Nieustanne prześladowania, na jakie starowiercy ci byli wystawieni, wyrobiły w nich wiarę w przyszłe panowanie Antychrysta; uważali się za prawdziwych chrześcian kuszonych i dręczonych przez Szatana, chętnie ponosili męczarnie i czcili pamięć fanatyków którzy dobrowolnie ponosili śmierć w płomieniach.

Ciężkie warunki ówczesnego życia rodzinnego, wywołały cały szereg pieśni, których treścią są skargi i użalania się kobiet na ich ciężką dolę. Z tych poezyj lirycznych wieje gorzki smutek, wyrażający boleść słabych istot, którym w pieśniach tylko wolno domagać się praw swoich. Doszedłszy lat, w których serce zazwyczaj domaga się miłości, kobieta opłakuje smutną dolę swoją, wiedząc naprzód, że rodzice wydadzą ją za człowieka, którego kochać nie będzie, gdyż jedyną jego zaletą będzie bogactwo. Z płaczem żegnają się z stowarzyszkami lat młodocianych, rozdając im podarki i upominki; przybywszy do domu małżonka zastaję tam matkę jego i siostrę, które przyglądają jej się podejrzliwie i wszelkie upatrują wady. Biedna młoda małżonka płacze w skrytości, smutna jak ptaszyna opuszczona w lesie, i myśli nieustannie o matce i o rodzinie; tak chudnie i mizernieje, iż po upływie roku, rodzona matka poznać jej nie może.

Stokroć lepszem było położenie mężczyzny w rodzinie, jednak nie tak cierpliwie jak kobieta znosił on swoje smutki i przeciwności. Wiele pieśni opiewa, iż jedni topią smutek swój w trunku, inni, znudzeni niedobranem małżeństwem, namawiają żony, aby wstąpiły do zakonu, obiecując im, iż dostaną tam celki wktórych będą mogły modlić się i pracować na zbawienie duszy, inni nareszcie zrywają wszelkie węzły łączące ich z rodziną i społeczeństwem, i uzbrojeni uciekają w ciemne lasy. Inne pieśni mówią o charakterach więcej stanowczych, nie cofających się nawet przed morderstwem; jedna opiewa jak pewna żona zabiła męża, ciało jego porąbała w kawałki i rozrzuciła na cztery wiatry, a potem z czynu tego chwaliła się przed przyjaciółkami; w drugiej jest mowa o mężu co zamordował żonę, a wszystkie w ogóle opisują jak ciężkiem i gorzkiem jest życie rodzinne prostego ludu.

Śpiewy ludowe, nieco późniejsze, zdradzają pewną pogardę przyrodzonych węzłów rodzinnych, niezadowolnienie z ówczesnego porządku społecznego, pragnienie lepszych, słuszniejszych zasad. Mimo to jednak poczucie praw przysługujących rodzicom i starszym członkom rodziny, tak silnie było zakorzenione w pojęciach i przekonaniu ludu, iż ślepe posłuszeństwo i uległość młodszych utrzymywało się zawsze, i wogóle wierzono, że zaprowadzenie jakichś zmian w moralnym stanie społeczeństwa, musiałoby koniecznie spowodować ciężkie klęski i utrapienia.

Nie brak przypowieści świadczących o takiem usposobieniu ludu, i są to może najpiękniejsze utwory poezyi ludowej, a pomiędzy niemi najpierwsze zajmuje miejsce powieść pod nazwą *Strapienie—Nieszczęście*. Jest to smutna historya młodzieńca, syna kupca dręczonego wyrzutami sumienia, z powodu że nie słuchał mądrych rad przestróg rodzicielskich. Wpadł on w złe towarzystwo, zrobiono zniego pijaka i odarto z całego mienia. Nie śmiejąc wrócić do rodziców, udaje się do dalekiego obcego kraju, tam zapoznaje się z bogatym kupcem, który zaprasza go na obiad i uczy, jak ma żyć na świecie; lecz wtedy właśnie ukazuje mu się *Strapienie—Nieszczęście*, które sprzysięgły się na jego zgubę. Chcąc uciec przed niemi, syn kupca chroni się do klasztoru, którego święconego progu przekroczyć im nie wolno. W poemacie tym jest wiele pięknych obrazów, doskonale malujących ówczesne obyczaje, a nadto odznacza się poetycznym pomysłem, gdyż strapienie przedstawia tu sumienie. W całym tym utworze rozlany jest smutek i dojmujące szyderstwo, nader trafnie zastosowane.

Stosunki rodzinne opisane w tym poemacie, po dziś dzień żadnej prawie nie uległy zmianie; albo wiem reformy wprowadzone przez Piotra Wielkiego, miały głównie za cel życie publiczne lub obyczaje klass wyższych.

d. c. n.

Opis ryciny kolorowanéj.

Fig. 1. Ubranie małej Dziewczynki. Na różowej alpagowej sukience, włożony strojny muślinowy fartuszek, pokrywający prawie całą sukenkę. Okrągły słomkowy Kapelusz przybrany różą i wstawką różową.

Fig. 2. Ubranie młodej osoby. Suknia z tuniką kaftanikiem wcinanym z baskiną, odszyta z piaskowej alpagi. Wykłady na staniku, rękawkach, kieszonkach, szerokie obłożenie u przodu tuniki są z ciemno pąsowej materyi. Kaftanik zapięty dwoma rzędami pąsowych guzików sukienka i kołnierzyk fałdowany muślnowy. Kapelusz bastowy, przybrany z wierzchu i po nad czołem gerlandkami z kwiatów. Z boku przypięty fantazyjny ptaszek.

Fig. 3. Suknia z popielatego fularu wełnianego, przybrana plisowanemi falbanami i plisami z wypustkami i guzikami z niebieskiej materyj. Florencki kapelusz przybrany czarnym aksamitem, makiem i kłosami. Przy pasku zawieszony parasolik popielaty, ozdobiony koronką popielatą.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Opis do N. 36.



N. 1. Kapelusik z gładkiej słomy dla chłopczyka. N. 2. Słomiany kapelusz dla dziewczynki. N. 3. Kapelusz marynarski z popielatej ceraty.

N. 1. Kapelusz dla chłopczyka.

Kapelusz pleciony z gładkiej słomki, ma rondko w koło podniesione w górę i objęte kolorową wstążką. Pod rondkiem jest także przeprowadzona wstążka, związana z boku w kokardę z końcami.

N. 2—3. Kapelusze dla dziewczynek.

Pierwszy kapelusik biały słomkowy, przepasany jest pąsowym jedwabnym szalikiem i przybrany słomkowemi kwiatami. Kapelusz na ryc. 3 przedstawiony jest popielaty ceratowy, formą marynarską. Szalik jedwabny szkocki związany z boku w kokardę, stanowi przybranie.

N. 4. Uczesanie strojne dla młodych osób.

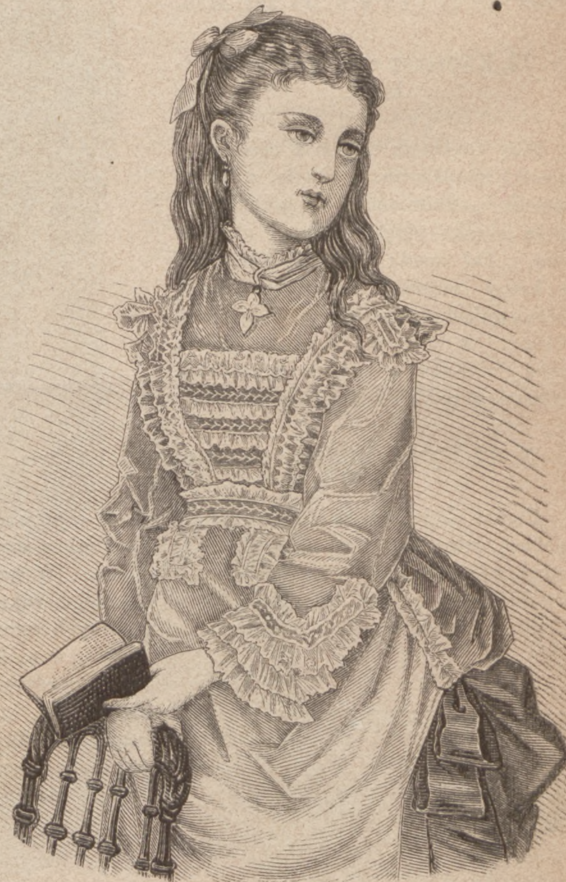
Włosy odczesane z przodu w górę na lekkiej podkładce wzięte są do tyłu i związane dość wysoko wraz z resztą



N. 4. Modne uczesanie głowy.



N. 5. Gorsecikowa chusteczka dla młodej panienki. Plecy do ryc. 6.



N. 6. Gorsecikowa chusteczka. Przód ryc. 5.

włosów po związaniu z jednej części włosów układa się kilka pukli, zwróconych ku górze z pozostałych zwijają się loki spadające po za ramiona. Nad lokami z boku głowy wpięty jest fantazyjnie ładny szyldkretowy grzebień.

N. 5—6. Gorsecikowa chusteczka dla panienek.

Gorsecikowe części chusteczki wszyte między epoletami z przodu i z tyłu są po 15 cent. długie i ścięte skośno z szerokości 16 cent. w górze, do 6 cent. przy pasku. Szelki spadające aż po za pasek w kształcie klapek po 6 cent. długich wymagają dwóch skośnych kawałków 76 cent. długich a 4—5 szerokich. Na ramionach do epolet przyszywa się po pięć klapek, stopniowej długości od 4—6 cent. Karoczek ułożony jest z oddzielnego kawałka, 14 cent. długiego, 34 cent. szerokiego u dołu, a 17 cent. w górze. Górna szerokość założona jest w dwie kontrafałdy. Pod wstawki w części gorsecikowe i pod pasek podwleka się kolorowa wstążka 2 i pół cent. szeroka; z tyłu karoczek przyciska kokarda. z długiemi końcami, podwiniętemi w dwa pukle.



N. 7. Suknia bez tuniki.

N. 7. Suknia bez tuniki.

Przedni bryt pokryty jest bufami danemi naprzemian w kolorze matowo popielatym i ciemno niebieskim. Tylne bryty sukni naszyte są marszczonemi falbanami, także w dwóch kolorach. Stanik z ciemnego materyjału, ozdobiony jasnym kołnierzem z wykładami; na rękawach dodadć jasne patki, otoczone ciemnemi bufami, nad któremi dana wązka jasna falbanka. Kreza w około podłużnie otwartego kołnierza idąca i podgarnirowanie w rękawach; jest z podwójnie złożonej illuzji.

N. 8. Kaftanik z wykładami.

Przy kaftaniku z letniego piaskowego sukienka, oszycie plapki i wykłady dodane są z brązowego sukna. Przody zapięte na dwa rzędy metalowych guzików.

N. 9—10. Płaszczyk z pelerynką.

Przody i plecy płaszczyka formą puszczoną mają po zszyciu wykrój pachy oszyty wypustką. Na to spada długa pelerynka. przechodząca za stan. Dolny brzeg płaszczyka i peleryny zdobi piękne szerokie wyszycie, z torsadki białej z pikotami i z plecionki przerabianej w dwa odmienne desenie. Rycina 10 przedstawia wzór tego wyszycia, w naturalnej wielkości.

N. 11. Ząbki szydełkowe.

Po spojeniu 4 o. pow. w kółko, robi się w pierwsze z nich 3 sł. nie wykończając ich całkowicie, lecz górne oczka zatrzymane na szydełku zrabia się dopiero 3 oczkiem, dalej następuje3 p., 3 sł. 3 o. pow., 1 sł. podwój-

ny, zajmowany w kółko z czterech o. powietrznych. Znów 4 o. pow, spojone w kółko i dalej tak jak powyżej, nagłówek stanowią sł. rozdzielane 3 o. powietrznemi.

N. 12. Kapelusz florencki z woalem.

Rycina 12 przedstawia niezbyt wielki słomkowy florencki kapelusz, przybrany kolorową wstążką i także gazą lub tiulem. Dopełnienie przybrania stanowi woal gazowy ze szlakiem.



N. 8. Kaftanik z wykładem dla młodej panienki.

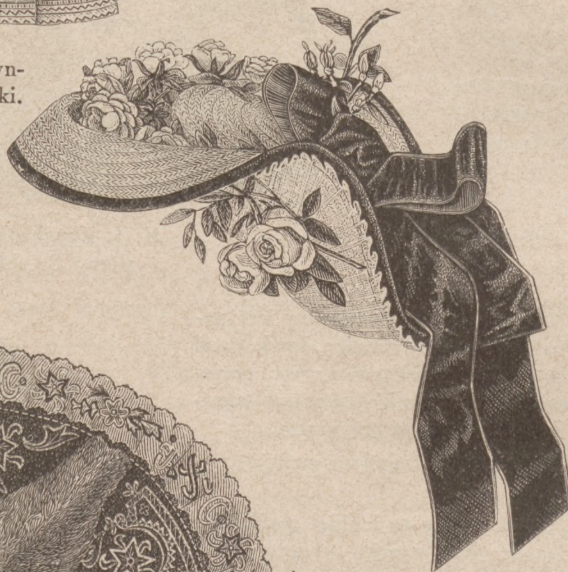
N. 9. Płaszczyk z pelerynką dla młodej panienki. Patrz szlaczek N. 10.



N. 11. Szydełkowe ząbki.



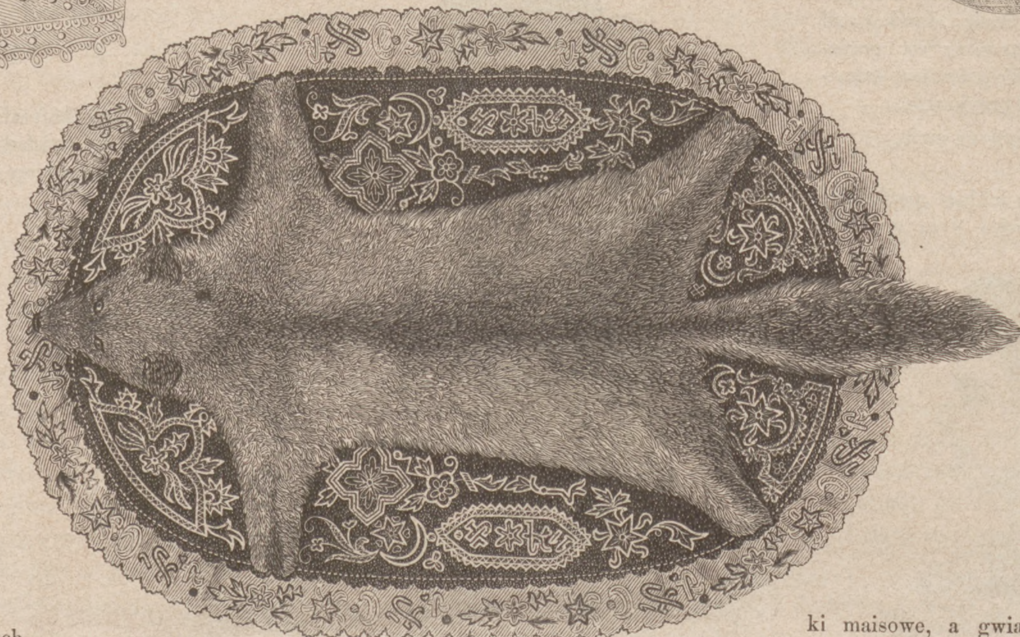
N. 12. Florencki kapelusz z woalką. Patrz ryc. 15 i 36 w N. 35 Tyg. Mód.



N. 13. Florencki kapelusz z podpiętym rondkiem.

N. 13. Kapelusz z podpiętem rondkiem.

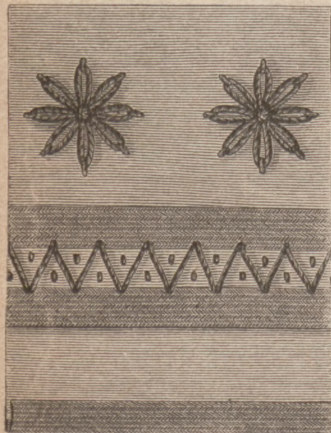
Przy kapeluszu białym z rondem z przodu spadającem na czoło, z boków mocno podniesionem w górę, brzegi są szeroko objęte czarnym aksamitem. Od spodu dane jest podszycie z krepy różowej na której pięknie odbija gałązka róży przypięta z lewej strony. Z wierzchu w około główki dana girlandka z róż związana sutą kokardą z pukli i końcy czarnych aksamitnych.



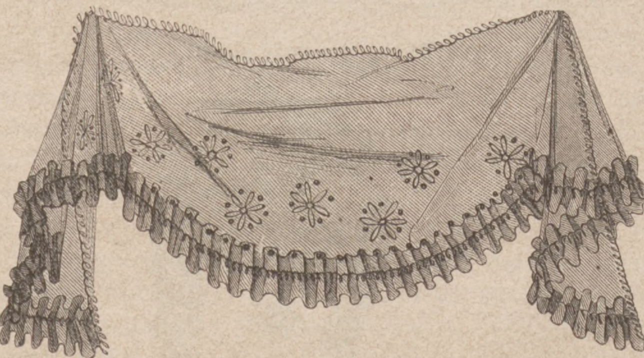
N. 14. Dywanik futrzany haftowany.

N. 14. Dywanik futrzany z podszyciem i haftem.

Piękna skóra lisia ze szklannemi oczami w wypchanej główce, rozpostarta jest na owalnym kawałku sukna czarnego, 96 cent. długim, a 60 cent. szerokim. W koło owalu podszyty jest szeroki szlak z pąsowego sukna. Haft na tle czarnym i na pąsowym szlaku, których brzegi wycięte są w ząbki, odrabia się różnemi kolorami, w guście tureckim. Brak miejsca nie dozwala nam załączyć deseniu w naturalnej wielkości, czytelniczki muszą go ułożyć zwiększając z małej lecz dokładnej ryciny 14.



N. 16. Szlak do haftu na torebkę. Patrz Ryc. 23. Welniany sznureczek i haft.



N. 15. Woal z kolorowego tiulu. Patrz Ryc. 12 i 36 N. 35. Tyg. Mód.

N. 15. Woalik z kolorowego tiulu.

Rycina 15 przedstawia woalik odszyty z kawałka tiulu 115 cent. długiego a 30 szerokiego, który w końcach ścięty jest w barbki około 32 cent. długie. Pozostała długość środkowa 51 cent. wynosząca, zaokrągla się aż do zaczęcia barbek. Pozostałe resztki od wykroju woalika przecinają się w paski 2 cent. szerokie, z których układa się riusza, zakończająca brzeg dolny. Rzucik w szlaczku daje się ze szneli podług ryc. 36 w N. 35 Tygodnika.



N. 17. Szlak do mebli, portyjer i t. d. Ścieg sznureczkowy.

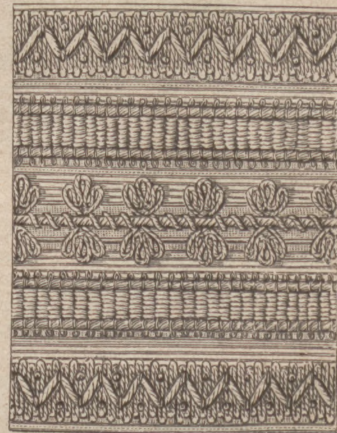
N. 16. Wyszycie szlaku do torebki ryc. 23.

N. 17. Szlak do mebli, portyjer, serwet i t. d.

Od czasu wiedeńskiej wystawy hafty w guście wschodnim i perskim tak weszłym w modę iż używane są nie tylko na szlaki do mebli i portyjer ale do ozdoby okryć i chustek kaszmirowych. Szlak podany w naturalnej wielkości na ryc. 17 odrobiony jest ściegiem luźnym, łańcuszkowym, długim i t. p. Palmy w szlaku są koloru pąsowego do cieniu, na zielonych korzonkach; muszki w środku są żółte do cieniu. W szlaczkach łańcuszki są pąsowe, ząbki maisowe, a gwiazdki jasno brązowe. Duże zęby są zielone, listki w pośrodku nich maisowe, mniejsze ząbki maisowe z pomarańczowym, a listeczki czarne, półkola żółte do cieniu, mają supełki odznaczone pąsowym jedwabiem.

N. 18—19. Szpilki do włosów lub kapeluszy.

Ryc. 18 podaje strzałę szyldkretową, lekko wyrobioną; forma strzałki oddawna będąca w użyciu, obecnie modną jest w klamrach, broszach i przepięciach stalowych, lawowych, metalowych, szyldkretowych i t. p. Na ryc. 19 przedstawiony jest mały toporek metalowy, z lancą i łańcuszkiem, ładnie grawirowany i złocony, służący do przepięcia kokardy przy kapeluszu.



N. 10. Szlaczek zdobny pikotami do pelerynki ryc. 9.

N.20. Flakonik do zawieszenia przy pasku.

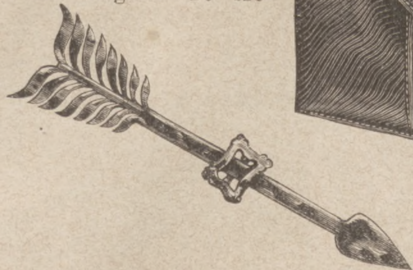
Flakonik taki z śrubowanym zamknięciem, zawieszony na mocnym sznureczku z haczykiem do założenia za pasek, spadać może przy wachlarzu lub parasoliku.

N. 21. Agrafka z trzema spadającemi haczykami.

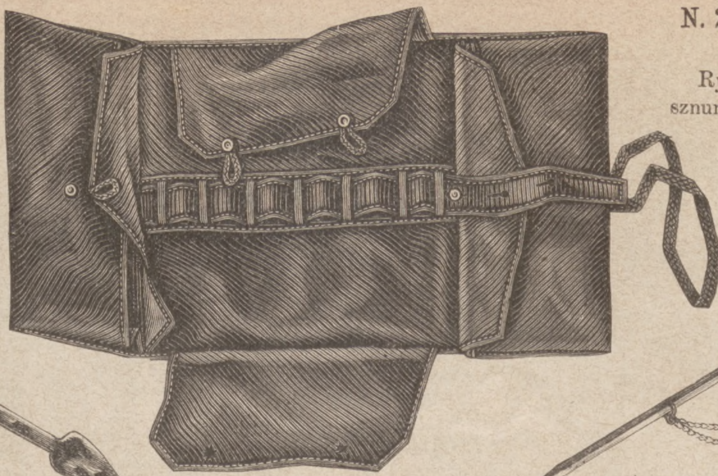
W oprawie z oksydowanego srebra, ładnie odbija kamea na tle różowawego kamienia. Na haczykach zamykanych zawiesza się zegarek, flakonik i wachlarz lub t. p. przybory.

N. 22. Neseser podróżny.

Neseser ten rozłożony liczy 48 cent. długości i 26 szerokości; na tej przestrzeni oddzielone są dwie boczne kieszonki zapinane na klapki; środkiem przymocowane są podłużnie idące paski, pod którem przewleka się poprzecznie pasek, dający się wysuwać lub ściągać, odpowiednio do przytrzymywanych przedmiotów. Zamknięcia złożonego neseseru dopełniają klapki po 21 cent. długie a 11 i pół szerokie, zapięte na guziki i pętelki z elastyki.



N. 18. Szpilka do włosów albo do kapelusza.



N. 22. Neseser podróżny.



N. 20. Flakonik do zawieszenia u paska.

N. 23—16. Torebka z paskiem.

Materyjał: szare płótno, czarna wełniana plecionka, czarny jedwab, pasek sztywny.

Do podróży lub wyjścia za sprawunkami, torebka ta bardzo jest dogodną, ponieważ można w niej pomieścić wiele drobnych przedmiotów, jakie chcemy mieć pod ręką. Najpierw potrzeba wykroić dwie połowy torebki z szarego płótna po 27 cent. szerokie, przednia część liczy 20, tylna z klapką 30 cent. długości; rogi u torebki są zaokrąglone a przy klapce ścięte skośno do 14 centymetrów.

Obie połowy złączone są paskiem 7 cent. szerokim, a 63 długim; brzegi po zszyciu obejmuje plecionka wełniana. Przyozdobienie z czarnej plecionki i gwiazdek wyszytych jedwabiem, dopełnia się podług ryc. 16, podającej wyszycie w naturalnej wielkości. Pasek otaczający figurę i paski do zawieszenia torebki są 4 cent. szerokie, objęte i wyszyte plecionką i jedwabiem.



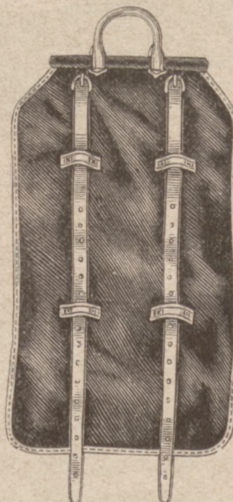
N. 23. Torebka z paskiem. Patrz ozdoby na ryc. 16.



N. 25. Pokrowiec. Wewnętrzna część ryc. 24.



N. 24. Pokrowiec w kształcie ręcznej torebki podróżnej. Zamknięty. Patrz ryc. 25—26 i Szlaki na ryc. 13—14 N. 35 Tyg. Mód.



N. 26. Pokrowiec. Zewnętrzna część. Rozłożony ryc. 24.



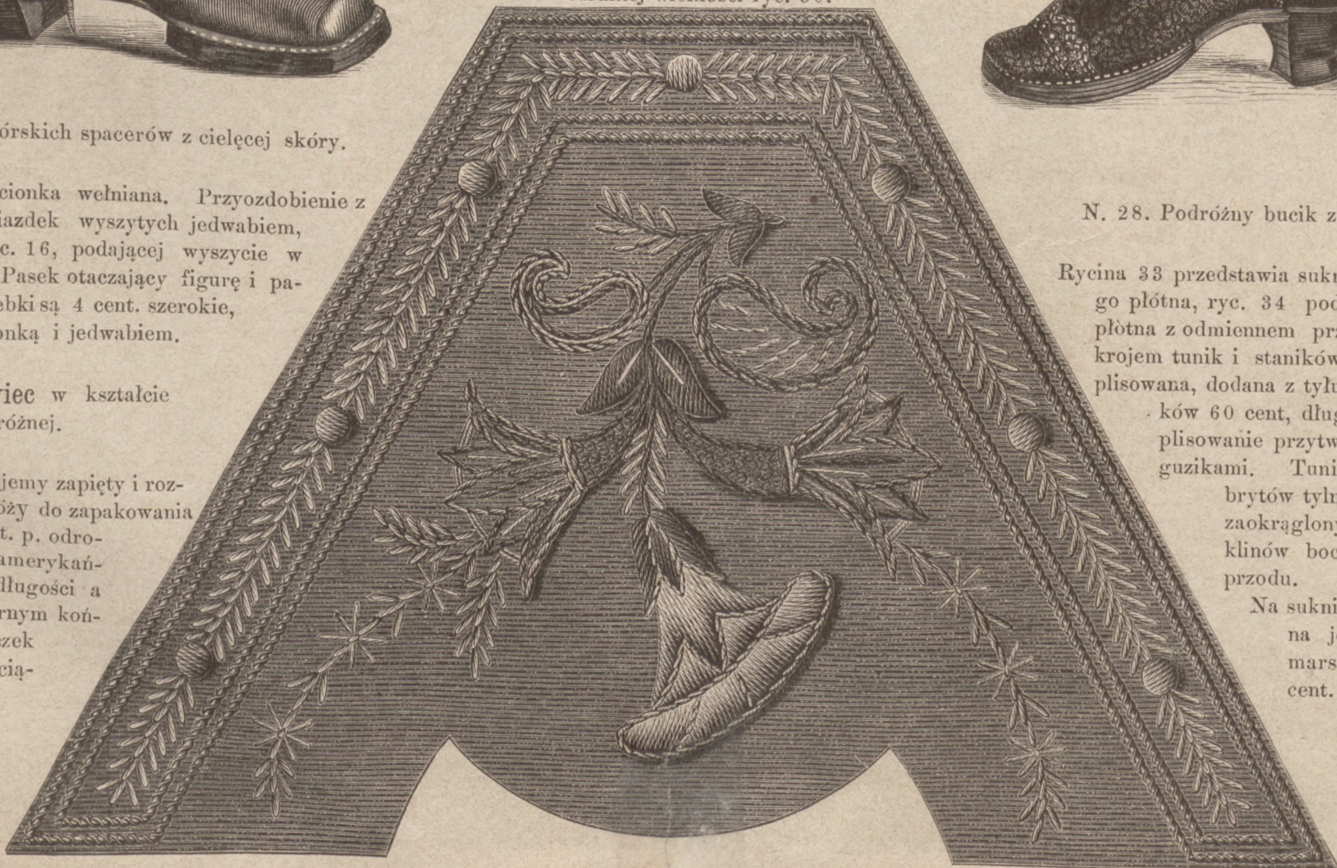
N. 27. Bucik do górskich spacerów z cielęcej skóry.



N. 29. Haftowany skórzany pantofel. Patrz deseń naturalnej wielkości ryc. 30.

N. 24—26. Pokrowiec w kształcie torebki podróżnej.

Pokrowiec jaki podajemy zapięty i rozłożony, służący w podróży do zapakowania pledu, okrycia, szala i t. p. odrobiony jest ze skóry amerykańskiej i liczy 80 cent. długości a 44 szerokości. W górnym końcu wszyty jest wałeczek ażeby pokrowiec nie ściągał się i dodane uszko dla dogodnego przenoszenia. Pasy stanowiące zwierzchnie przyozdobienia wyszyte są na szarem płótnie, podług ryc. 13—14 w N. 35 Tyg. Mód.



N. 30. Haft na skórze d[illegible]antofla ryc. 29. Naturalna wi[illegible]kość.

N. 27—28. Buciki do podróży lub spacerów w górach.

Ryc. 27 przedstawia bucik na poczwórnej podeszwie, sznurowany z przodu z wysoką cholewką i nizkim a szerokim obcasem. Ryc. 28 przedstawia bucik podróżny ze skóry morskiego psa.

N. 29—30. Pantofle haftowane na skórze.

Rycina 30 podaje w naturalnej wielkości deseń [illegible] popielatej skórze, popielatym jedwabiem do cieniu. Całość pantofla załączamy na ryc. 29.

N. 19. Szpilka do włosów albo do kapelusza.



N. 21. Agrafka.

N. 31. Suknia z długą tuniką.

Suknia ta odszyta jest z kolorowego batystu w kółka i przybrana falbanami i wodami z materyjału gładkiego, zastębnowanemi w maszynie.

N. 32. Suknia z vêtement.

Z materyjału w pasy szersze i węższe jako to: z perkalu batystu lub bareżu, zrobić można gustowną suknię. Mięszanie dwóch materyjałów ciągle utrzymuje się w modzie, szczególnej do sukien letnich.

N. 33—34. Suknia z pół tuniką.

N. 28. Podróżny bucik ze skóry psa morskiego.

Rycina 33 przedstawia suknią z piaskowego wełnianego płótna, ryc. 34 podaje suknią z granatowego płótna z odmiennem przybraniem lecz jednakowym krojem tunik i staników. Nowość stanowi część plisowana, dodana z tyłu baskiny, ułożona z kawałków 60 cent. długich a 19 szerokich. Górne plisowanie przytwierdza się w stanie dwoma guzikami. Tunika złożona jest z dwóch brytów tylnych, po 120 cent. długich zaokrąglonych ku przodowi i z dwóch klinów bocznych ściętych w ząb do przodu.

Na sukni piaskowej ryc. 33, dana jest u dołu wązka falbanka marszczona nad nią idzie 17 cent. szeroka falbana, ozdobiona haftem brązowego koloru. Nad falbanami naszyta suto marszczona bufa 20 cent. szeroka, z dwoma nagłówkami, trzy razy przemarszczonemi. Na przednim brycie. dane są jeszcze dwie takie bufy, dochodzące z boków do tuniki, za-

kończonej 9 cent. szeroką falbanką. Stanik wycięty podłużnie oszyty wzdłuż przodów falbanką, u dołu baskiny zakończony haftem. Na ryc. 34 u dołu sukni na tylnych brytach, dana falbana marszczona 30 cent. szeroka z przodu plisowanie 40 cent. szerokie, zakończone z boków sutemi k[illegible]kardami, a u g[illegible] razy przestębnowan[illegible] w odstępie. Przy tunice falbanka marszczona 9 cent. szeroka. Suta kreza, otaczająca wykrój podłużny stanika, w środku ułożona w wielką kontrafałdę, ku końcom drobno plisowana, ma w środku 14, w końcach 8 cent. szerokości.



N. 31. Suknia z długą tuniką.

N. 32. Suknia z otwartem z przodu vêtement.

N. 35—36. Suknia z tuniką.

Ryc. 35—36 przedstawiają z przodu i z tyłu suknią, odszytą z płótna wełnianego piaskowego koloru. Haft dodany jest w kolorze brązowym. Suknia ryc. 35. ma przedni bryt przykryty plisowaniem z fałdów szerokich; na bokach dane szerokie bufy, dochodzące do falban, naszytych na tylnych brytach. Na ryc. 36 przybranie stanowią falbany, zakończone wązkiemi, haftowanemi falbankami, a w górze przyszyte wodą z nagłówkami. Przy tunikach dodana falbanka haftowana.



N. 33—34. Suknia z otwartem z przodu vêtement. Przód i plecy.



N. 35—36. Suknia z długą tuniką—Przód i plecy. krój tuniki Patrz ryc. 27—28 w N. 15.